

MYSŁ NARODOWA

TYGODNIK POSWIECONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK IX. Nr 7

WARSZAWA, 17 LUTEGO 1929 R.

CENA NUMERU 80 gr.

O TREŚĆ RZĄDÓW

ZASTANAWIAJĄCE jest, że zagadnienie zmiany ustroju nieomal powszechnie traktowane jest dzisiaj w społeczeństwie polskim jako zagadnienie formy rządów, ujmowanej jakgdyby abstrakcyjnie, niezależnie od rzeczywistej, żywej treści, która owe formy konstytucyjne ma wypełnić. Padają hasła: „silnego rządu“, „równorzędnosci władzy ustawodawczej i wykonawczej“, albo naodwrot „zniesienia podziału władz“ przez skupienie ich w ręku Prezydenta Rzplitej — i stosownie do takich i tym podobnych „myśli przewodnich“ przygotowuje się projekty naprawy Konstytucji, jak również poddaje ocenie ich wartość. O najgłębszych, moralnych zasadach bytu zbiorowego, które w formach ustrojowych państwa powinny znaleźć możliwie najpełniejsze urzeczywistnienie, mówi się bałamutnie i niewiele, jeszcze mniej — o pytaniu przy rozpatrywaniu poszczególnych projektów najważniejszym: jakim czynnikiem, jakim siłą politycznym dany ustrój wytworzy warunki najdogodniejsze dla objęcia i utrzymania władzy w państwie, jaki typ moralny i umysłowy obywatela osiągnie w nim przewagę, wpływając tem samem na dalsze losy całej cywilizacji narodowej.

Wysuwając hasło naprawy ustroju, obóz „przewrotu majowego“ uzasadniał je nader surową krytyką działalności ciał ustawodawczych, niedorostłych do wypełniania ogromnych zadań, przeznaczonych im w Konstytucji 17 marca 1921 r. Charakteryzując skład wszystkich trzech dotychczasowych parlamentów odrodzonej Rzplitej, sprawca „przewrotu“ nie zawahał się dobrać wyrażen zgoła nieparlamentarnych. Tymczasem, skoro po dwóch i pół latach przygotowań, zwycięzcy majowi zdecydowali się wystąpić nareszcie z własnym wnioskiem w sprawie przebudowy walącego się dzisiejszego ustroju, cały swój plan oprzeć postanowili na jednym fundamentalnem założeniu: uznali, mianowicie, za rzecz

zadnej zgoła nie ulegającą wątpliwości, że te same zastępy wyborców, które podczas trzykrotnych wyborów sejmowych obdarzały zaufaniem swem tak brutalnie w oświadczeniach min. Piłsudskiego określanych przedstawicieli, te same zastępy, w takimże powszechnem, równem, tajnem, bezpośrednim, bez różnicy płci głosowaniu, na stanowisko Prezydenta Rzplitej powoływać będą (napewno!)... jednostkę o „najtęższym mózgu i sercu“ („Kurjer Poranny“, art. wstępny z dn. 8 b. m.). Gdzie jednakże rękojmię tak szczęśliwego wyboru, darmo pytać...

Chcąc natomiast zdać sobie sprawę, jaka treść rzeczywista wypełniłaby najprawdopodobniej formy ustrojowe, zalecane we wniosku Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem, warto zwrócić uwagę na dwie znamienne cechy psychiki polskiego społeczeństwa, obie mające swe uzasadnienie w historii: 1) gorący patriotyzm, nieraz żywszy, a w każdym razie bezinteresowniejszy, aniżeli u większości narodów europejskich, pojmowanie ojczyzny nie jako źródła korzyści materialnych dla jednostki, ale celu jej ofiar i poświęceń; 2) brak zmysłu i wyrobienia politycznego, osądzanie posunięć politycznych na podstawie kryteriów niepolitycznych, niezdolność opinii publicznej do łączenia zjawisk z dziedziny polityki w związku przyczynowe, a więc także rozeznawania planu politycznego i jego oceny. Dlatego też rozmaitym czynnikiem obcym, zarówno wewnątrz kraju jak poza jego granicami, pragnącym uzyskać jaknajwiększy wpływ na politykę Państwa Polskiego, nie na wiele przyda się popieranie ugrupowań i stronnictw, przeciwstawiających się patriotyzmowi w imię doktryn kosmopolitycznych, czy egoizmów osobistych albo klasowych. Mocny instynkt narodowy, zespolone z nim poczucie religijne nawet wśród warstw najmniej oświeconych, nie stwarzają, — pomimo niewątpliwej przewagi, jaką zapewnia

„najdemokratyczniejsza ustawa wyborcza w świecie” — najpomysłniejszej konjunktury dla żywiołów luźno związanych z narodem i hasła odśrodkowych. Zwłaszcza Żydzi, nazbyt jawnie i natarczywie występujący przeciwko polskim, narodowym uczuciom i dążeniom, łatwo mogliby wywołać reakcję całkowicie przeciwną ich zamierzeniom. To też system, podstawiający na miejsce walki o idee walkę o osoby, okaże się ze stanowiska tych żywiołów bez porównania pewniejszy, tem więcej, jeżeli tajny, bezpośredni sposób wybierania Prezydenta, uczyni poparcie, udzielone jednemu z kandydatów przez narodowości niepolskie czemś omal nieuchwytnem, niewidocznem. Szczególnie dogodny stałby się system taki dla międzynarodowej organizacji wolnomularskiej, która rozporządzając wpływami w ugrupowaniach o sprzecznych interesach klasowych, o wiele łatwiej zszerzować je potrafi pod hasłem wysunięcia wspólnego kandydata, aniżeli rządzenia według wspólnego planu. Przedewszystkiem zaś w społeczeństwie politycznie naiwnem, niewyrobnem, ustrój powyższy daćby musiał rozstrzygającą przewagę czynnikom wewnętrznym lub zewnętrznym, które rozporządzać będą największymi środkami pieniężnymi na propagandę, tem łatwiejszą przytem, że pragnący sięgać po władzę w Polsce nie mają potrzeby legitymować się przed opinią publiczną zasługami politycznymi ani programem: naród od wieków nie prowadzący samodzielnej polityki, wdrożony jest do uznawania za swych przywódców politycznych nie mężów stanu, ale raczej poetów,

generałów, profesorów „o światowej sławie”, albo nawet t.zw. „zacnych, nieskazitelnych patriotów”. Cóż prostszego zaś dla sprzedajnej prasy brukowej i dla agitatora, niż uczynienie najdoskonalszego wzoru cnót wszelakich chociażby... z nieznanej biuralistki?

Oczywiście, rozważania powyższe nie mają na celu zarzucenia temu lub owemu z wnioskodawców, podpisanych na projekcie zgłoszonym przez Blok Bezpartyjny, zamiaru utrwalania w Państwie Polskiem obcych wpływów. Wykazują tylko, jak niebezpieczne mogą stawać się w praktyce pomysły ustrojowe, wywodzące się z założeń czysto formalnych, nie będące wyrazem ani dziełem świadomego, głębokiego prądu ideowego. Nie rozwiążą bowiem zagadnienia konstytucyjnego formułki, jak objawienie ogłaszane przez prezydium Klubu posłom i senatorom z „jedyńki” i natychmiast „w entuzjastycznym nastroju” uchwalane. Zdrowy ustrój Państwa Polskiego może powstać jedynie jako dojrzałe dzieło obozu, umiejącego dać jasną odpowiedź na pytanie, czym Naród Polski jest i powinien być na tle współczesnego świata, jakie ma zadania dziejowe do wypełnienia, jakich idei, jakich wartości cywilizacyjnych winien być wyrazicielem i obrońcą. Treścią, ideą przewodnią wszelkiej rzeczywistej naprawy ustroju nie może być nic innego, jak wytworzenie warunków najwszechstronniejszego, najbezpieczniejszego i najswobodniejszego rozwoju polskiej cywilizacji.

JAN REMBIELIŃSKI

SPOŁECZEŃSTWO TERMITÓW

NOWOCZESNY system produkcji i wymiany dóbr materialnych, korzystający ze świetnego rozwoju wiedzy przyrodniczej i matematycznej ostatnich dziesięcioleci, nabrał przez to sąsiedztwo wielce górnego mniemania o samym sobie. Kapłani jego usiłują, i nie bez powodzenia, wmówić w ludzkość, że nic lepszego w historii nie było i nie będzie, niż rozwinięty do ostatecznych możliwości industrializm, będący nie tylko w zupełnej zgodzie z nauką i wszelakim postępem, ale stanowiący tego postępu nieodzowny warunek. To ambitne mniemanie o sobie doprowadza już nieraz do pomieszania roli tabakierzy i nosa, i niejednokrotnie czyta się obecnie wywody, sprowadzające się do tego, że jeżeli społeczeństwa ludzkie nie czują się w tym systemie dobrze, jeżeli z niego wyrastają, to należy społeczeństwa zmienić i obciąć, a system industrialny musi pozostać.

W „Myśli Narodowej” zwracało się już uwagę na fakt znamieny, że koryfeusze systemu kapitalistycznego znajdują na niedomagania ekonomiczne ten sam środek, co pierwotnie gospodarujący Chińczycy, mianowicie widzą go w zmniejszeniu liczby ludności; różnica jest w tym wypadku ta tylko, że owi barbarzyńcy praktykują podobno mordowanie zbyt licznych starców i dzieci, podczas gdy *fine fleur* kapitalistycznej nauki propaguje delikatniej ograniczenie rozrodczości naturalnej. W Anglii propaganda taka nabrała w ostatnich latach wprost urzędowego charakteru, pisze się tam ze świętem oburzeniem, że przecież tak ważnej sprawy jak zagadnienie liczby ludności społeczeństwo nie może zostawiać na los

przypadku, musi ją ujmować w racjonalne normy. Przy sposobności jednej z dyskusyj na ten temat, G. K. Chesterton przyznał, że istotnie w tej materii społeczeństwa chrześcijańskie zostawiają zbyt wiele na los przypadku. Naprzykład zdarza się ustawicznie, że ktoś mający bogatego, a starego i niedołężnego wuja nie czyni nic, żeby przyspieszyć możność racjonalniejszego zużytkowania kapitałów, nieprodukcyjnie leżących w skrzyni starca i czeka cierpliwie, dopóki los nie zdecyduje się uczynić go spadkobiercą. A przecież drobny zabieg zrationalizowałby ten nieład w mgnieniu oka.

Samo jednak zapanowanie nad liczbą ludności entuzjastom dzisiejszych metod industrialnych już nie wystarcza, pragną oni opanować również i jakość ludzi. I tu zabierają głos biologowie. Prof. Julian Huxley w szkicach niedawno ogłoszonych przewiduje następujące ulepszenia w organizacji życia społecznego: Oto za sto lat — pisze — będziemy mieli kilka nowych ministerstw: ministerstwo płci, które będzie miało obowiązek określania ilu jest potrzebnych mężczyzn i ile kobiet i wydawania odpowiednich zarządzeń; ministerstwo dziedziczności i eugeniki, które będzie rozstrzygało zagadnienie, ilu ma być urodzonych ludzi zdolnych do studiów prawniczych, przyrodniczych i t. p.; ministerstwo kontroli biologicznej, (dzisiejsze ministerstwo zdrowia), ministerstwo zaludnienia, dostosowujące podaż pracy do popytu i ministerstwo psychologii stosowanej, zastępujące instytucje polityczne. Jak widzimy, prof. J. Huxley ma wzrok bystry i śmiałą decyzję, wobec czego przyszłe ministerstwo dziedziczności

i eugeniki zadecyduje zapewne, że jego potomstwo nadawać się będzie na motorniczych do tramwajów lub na policjantów, kierujących ruchem ulicznym. Jako narzędzie przerabiania ludzkości na modłę odpowiadającą każdorazowemu położeniu gospodarczemu uważa on biologię; pomysły jego możnaby uważać za marzenia zwarjowanego przyrodnika, gdyby nie to, że początek przewidywanych przez niego procedur został już zrobiony przez przyjęcie w niektórych Stanach Kanady, a ostatnio także w Szwajcarskim kantonie Vaud praw, zezwalających na przymusowe sterylizowanie osobników „zdegenerowanych”, co będzie według powszechnych przewidywań stosowane nie tylko pod kątem widzenia eugeniki, lecz również ekonomiki i polityki.

W każdym razie jednak owe ministerstwa Huxleya, mające biologicznymi metodami zautomatyzować ludzkość, nie grożą nam jeszcze w najbliższej przyszłości. Są natomiast już od dłuższego czasu czynne wpływy, automatyzujące człowieka przy pomocy wpływów psychicznych i mechanicznych. Do sił tych nie tylko należy coraz dalej przeprowadzany podział pracy, robiący z większości pracowników ludzkich jedynie wykonawców mechanicznych ruchów, lecz również systemy nauczania, propaganda prasowa i t. d. Znako- mity konstruktor automatów mechanicznych, twórca owego mechanicznego człowieka, który taki podziw budził na jednej z wystaw londyńskich ubiegłego roku, dr. Hatfield, wydał interesującą książeczkę p. t. „*Automaton*”, w której między innymi pisze:

„Nasza cywilizacja jest w istotnym znaczeniu tego słowa mizantropiczną. Stajemy się coraz bardziej antyhumanitarni. Nasz t. zw. humanitaryzm jest właśnie czemś zupełnie przeciwnem umiłowaniu człowieka. Jest on wyrazem naszego nieznoszenia naturalnych namiętności, akcji i reakcji, właściwych ludzkości. Sze- roka i skuteczna akcja, prowadzona w imię humani- taryzmu, usiłuje wytworzyć wspólnoty dobrze umy- tych, dobrze odżywionych, dobrze zachowujących się, dobrze uregulowanych, łagodnie-kulturalnych ludzi, po-

zbawionych tak wszelkiej indywidualności, jak auto- maty, wyrobione maszynowo. Gdyż aczkolwiek jest prawdą, że najwyższe i najsilniejsze typy indywidual- ności i charakteru mogą wykazać osoby, których po- stępowanie odpowiada ściśle najwyższemu wymaganiom humanitarnym, w stosunku do mas jednakże to się nie sprawdza. Masy komenderowane przez huma- nitarystów stają się tak monotennie podobne i po- zbawione charakteru, jak dobrze prowadzone stada zwierząt doinowych”.

Do tego stanu przyczyniają się według dr. Hat- fielda zarówno praca jak i rozrywki, dostarczane przez maszynową cywilizację. Robotnicy w nowoczesnym przemyśle: „mają uważać na kilka dźwigni. Przepisują liczby do ksiąg i dodają je. Liczą albo ważą towary i pakują je, odrzucając defekty”. Co się tyczy zaś ży- cia poza zajęciem, „nikt z wyjątkiem silnych osobistości nie unika skutków nowoczesnego państwowego nau- czania, prasy politycznej, cenzurowanego filmu, radja. Typowi mężczyźni i kobiety z wielkich miast nie są nigdy zdani na własne ich myśli w imię dobra ich duszy, albo też pozostawieni swoim własnym siłom, gdy cho- dzi o uniknięcie głodu, w imię ich szacunku dla samych siebie. Opiekują się nimi i kierują nimi umysłowo, moralnie i fizycznie od kolebki aż do grobu. Wobec tego zanika z konieczności wszelkie rozwijanie wy- bitnych cech charakteru”.

Mimo to automaty ludzkie w ten sposób produ- kowane nie są dobrymi maszynami i dr. Hatfield uważa, że powinny być w pracy zastąpione przez au- tomaty mechaniczne. Ten konstruktor automatów jest prawdziwym humanistą w przeciwieństwie do dzie- dzica stynnego nazwiska Huxley'a, który jeżeli nie pragnie, to przynajmniej godzi się na na skierowanie biologii do przekształcania społeczeństw ludzkich na wzór gromad mrówek czy pszczoł. Tu już nos całkiem w tabakierze zginął.

ZYGMUNT RACZKOWSKI

NOWA POWIEŚĆ AUTORKI „POŻOGI”

OSTATNIA powieścią historyczną w wielkim stylu była „Trylogia” („Rok 1794”) Reymonta. Zakończyła ona świetnie ten rodzaj twórczości beletrystycznej z okresu przedwojennego.

To, co w tej mierze przyniosło dziesięciolecie wznowionego życia państwowego Polski, powstawało na tle „historycznej” teraźniejszości i wiązało się z chwilą bieżącą, albo było „romansowaną” kroniką naszych walk o niepodległość w ciągu XIX stulecia, nie roszcującą pretensyj do wielkiego stylu histo- rycznego.

Do przeszłości dalekiej nie zwracało się zbyt- no życie — chyba w sposób urzędowy, podczas obcho- dów narodowych — nie zwracała się więc do niej i twórczość powieściopisarska. Niegdyś było to jej normalną czynnością; Kraszewski — że pominę innych — pisał swoje cykle powieści historycznych po to, żeby uczuć szerszy ogół dziejów Polski; Sienkiewicz two- rzył swoje „dla pokrzepienia serc”; Reymont — by nie słabła wiara w lepszą przyszłość narodu; Żeromski, żeby nie zabił rany duszy polskiej i t. d.

Gdy się ziściły „marzenia ojców i dziadów”, powyższa normalna funkcja naszego organizmu twór- czego prawie ustała, zrzadka tylko i słabo wznowiając przerwana działalność.

Aż oto, na schyłku dziesięciolecia wskrzeszonego państwa naszego, ocknęła się żywiej w dziele bez przesady niapospolitem.

Jest niem powieść historyczna Zofji Kossak- Szczuckiej p. t. „Złota Wolność”: (tom I str. 282, t. II str. 282. Nakład krakowskiej Spółki Wydaw- niczej). Poprzednie utwory Kossak-Szczuckiej świad- czą, że po napisaniu „Pożogi”, autorka jej wyobraźnię swą miała wciąż zaprzątą tematami historycznymi („*Beatum Scelus*”, „*Wielcy i Mali*”), — i tak, pró- bując sił swoich na rzeczach mniejszych, doszła kon- sekwentnie do wielkich.

Przypomina to drogę odbytą przez Sienkiewicza od „Niewoli tatarskiej” do „Ogniem i Mieczem”.

Tego rodzaju wytrwałe dążenie ku przeszłości dziejowej, nietylko wyobraźnią lecz i duchem świa- domym, taka wola artystycznego wypowiedzania się na podstawie zdarzeń, których się nie przeżywało bezpośrednio, które nie zachodzą w naszym momencie bytu i w naszym otoczeniu — to fakt godny zasta- nowienia. Skąd to przejęcie się minionymi sprawami narodu, czynami, kształtami oraz ludźmi jego prze- szłości, w czasach, gdzie powszechna uwaga skupiona jest na teraźniejszości, gdzie życie całe tętni jej

treścią, zmusza ogół ludzki do wyłącznego, bez chwili wytchnienia, obcowania z nią.

Skąd to przejęcie się zwłaszcza u powieściopisarza, któremu łatwiej przecie tworzyć na podstawie doznań i przeżyć bezpośrednich, niż wskrzeszać zamarte kształty, wywoływane „trudem niemałym” — jak sam jeden z nich wyznawał — w perspektywie ubiegłych wieków? Tembardziej, że pomijając interes osobisty, doradzający trzymanie się terazniejszości, bieżąca krytyka domaga się od powieściopisarza, żeby był historykiem i malarzem swoich czasów, — a jak u nas — żeby badał, pokazywał nam „nowych” ludzi, tworzących „nowe” życie. Słuszne wymagania, tylko że o prawdziwie „nowych” ludzi, wnoszących istotnie cenne wartości w stosunki jest jaknajtrudniej, i niezawsze inne, zmienione życie — jest życiem w istocie nowem.

Zdawałoby się, że tych „nowych” ludzi, tworzących „nowe” życie, powinno zjawiać się jaknajwięcej po wielkich wydarzeniach dziejowych, zmieniających gruntownie warunki bytu społeczeństw i narodów. Powstaje nowe życie, przychodzą nowi ludzie — nie naturalniejszego. Tymczasem częstokroć się okazuje, iż ci „nowi” ludzie są wypełnieni bardzo „starą” treścią, i zamiast tworzyć „nowe” — tworzą, a raczej powtarzają życie „stare”.

Coś podobnego zaszło w życiu niejednego społeczeństwa europejskiego po ostatniej wielkiej wojnie światowej: spodziewano się niezwykłych dowodów odrodzenia duchowego po człowieku, który żył w heroicznym nęczeniu ducha przez kilka lat wojny — doznano zawodu.

„Z chwilą, gdy zwycięzcy zrzucili strój polowy, stał się widocznym powrót — i to po kilku miesiącach — do wszelkich nikczemności przeszłych. Trzeba było pogodzić się z faktem oczywistym: okopy nie uczyniły z naszych (zwycięzców) miłośników życia. Dyscyplina wojskowa nie miała dalszego ciągu w życiu publicznym. Marszałków zaczęto traktować podejrzliwie. Defetyści i zdrajcy przeszli w krótkim czasie z więzień do rządu. Iżby podjęty na nowo pracę rozpręgnięcia jedności etc., etc.” (p. „*Les Cahiers d'Occident*” serja 2-a).

Taki stan rzeczy stwierdzają we Francji; gdzieindziej chyba nie jest lepiej. A u nas? U nas powrót do wszelkich błędów i nikczemności przeszłych, do „starego” człowieka — pomimo deklamacyj ustawicznych o jego „odrodzeniu”, „wyzwoleniu” i t. p. — stał się widoczniejszym, niż gdziekolwiek.

Niewiadomo gdzie tych „nowych” ludzi u nas szukać? W każdym razie nie wśród dawniejszych wszelkiego rodzaju Żołzikiewiczów i Pochroniów, których po naszym wyzwoleniu namnożyło się bez liku i oni to przedewszystkiem zakrzętnęli się żwawo do koła „rozbudowy nowego” życia — wszędzie gdzie się dało, gdzie było coś do zajęcia i do wzięcia, w oczach wszystkich, a choćby poza oczami.

Nasz „nowy” człowiek nawet swojej odmiany Podfilipskiego nie wytworzył, jeno samych Podfilipów...

Niefrasobliwej, pozbawionej skrupułów działalności tego rodzaju „nowych” ludzi, zawdzięczamy wzmoczenie się niebывałe w naszych stosunkach płaskiego egoizmu oraz gruboskórnego użycia, na co przecie codziennie narzekamy.

Nie można też uskarżać się na naszych powieściopisarzy, żeby oni odwracali się z pogardą od widoków zgnilizny, ujawniającej się w naszym życiu. Przeciwnie większość wśród nich z lubością wciela ją do swoich utworów, pokazuje nam ludzi chaosu i rozkładu moralnego — których nieraz wydaje za „nowych” —

a niebrak i takich, co głównie do nich mają słabość i poza nimi świata nie widzą.

Nie wszystkim wszakże dogadza dobrowolne przebywanie w środowiskach ludzkich, wypełnionych płaskością uczuć, cynizmem oraz pomrukiem żądz brutalnych; nie każda wrażliwość może długo wytrzymać w zaduchu wytwarzanym przez dzisiejszych Żołzikiewiczów i Podfilipów — bo tego typu „nowi” ludzie przedewszystkiem niedobrze pachną moralnie...

Taką wrażliwością obdarzona jest, jak sądzę, autorka „*Żłotej Wolności*”, której pełna zdrowia moralnego dusza, zarówno być może jak i skrzydlata wyobraźnia, zwraca się wciąż, nie znosząc zaduchu terazniejszości, ku zasobniejszej w rzeźkie powietrze, a może złudniejszej, odległej przeszłości.

Nie oznacza to wcale u niej ucieczki wygodnej od dojmującej, bolesnej rzeczywistości naszej. Bynajmniej. Ostatnia jej powieść wolna jest wprowadzić od dydaktyzmu moralizatorskiego, twórczość jej tu rozwija się jak najswobodniej, niekrępowana żadną tendencją, niemniej jednak w utworze tym czuć ciągle dyskretną obecność duszy, wzruszonej głęboko rzeczywistością polską, tą rzeczywistością, której trwanie oblicza się nie na jedno lub dwa pokolenia, lecz jest tak wieczne jak sam naród i wiąże ściśle z jego charakterem.

Autorka cofnęła się w przeszłość odległą nie dla przyjemności przebywania w muzeum starożytności — w czym są nieraz rozmiłowani niektórzy autorowie powieści historycznych — lecz najpewniej po to, by stanąć bliżej źródeł, bliżej początków tego zła, co wszczepione w nasz organizm narodowy przetrwało po dziś dzień — i, jak rdza, trawi naszą terazniejszość. Jaką troską jest sama przeniknięta z tego powodu, tego nam w dziele swoim nigdzie nie mówi — nie trudno jednak, ze sposobu odtworzenia zdarzeń dziejów naszych, którym powieść jej jest poświęcona, wyczuć, iż żyje przeświadczeniem, że to, co niegdyś było klątwą i złem naszego bytu narodowego, tem samem jest i dzisiaj, a co było dobrem, powinno rządzić życiem współczesnem, jeśli jest w nas wola do uzdrowienia organizmu zbiorowego.

Kilka lat panowania Zygmunta III, lata pomiędzy Kirchholmem a Kłuszynem, obrała sobie autorka za tło dziejowe swej powieści.

Pomiędzy temi dwoma świetnymi czynami geniuszu militarnego Polski, jakby pomiędzy dwoma pomnikami jej niezmierzonej chwały rycerskiej — rozwija przed nami autorka bogaty w treść rozmaity obraz życia prywatnego i publicznego Polski ówczesnej.

Są to czasy szalonego zanarchizowania życia publicznego, czasy, w których walki duszne rozgorzały, jak nigdy przedtem, a dur — jak się wyraża autorka — padał na głowy, prowadząc je nieraz na dziwne manowce. Widzimy, jak na dłoni, wszystkich — ulegających temu lub innemu durowi: są tu dyssydenci (arjanie) i rokoszanie, są mniejsi i więksi awanturnicy, jak ci, co, łże-Dymitrow sadzają na tron moskiewski; są rozliczne warchoły i zawalidrogi, skorzy z byle powodu do wszczynania gwałtów, zamieszek i walk bratobójczych, jak np. ów djabeł Stadnicki, co to o psa legawego wywołał prawdziwą wojnę, która trwała parę lat i kosztowała życie paru tysięcy ludzi.

Wszyscy oni, jedni z godziwych, drudzy z niecnym pobudek, jedni w obronie wolności sumienia, inni w obronie wolności bezprawia, mają właściwie na względzie tylko swoją prywatę, interes osobisty, któremu aby się stało zadość, gotowi świat cały wyrzucić do góry nogami.

Wygląda na to, jakby wszyscy — dyssydenci czy katolicy, tacy lub inni — śpiewali w zapamiętaniu tę oto pieśń arjańską:

„Niech się świat burzy, niech miesza, Wszystko przepadnie snadnie; Niech się ziemia chwieje, wiesza, Niech trzaśnie i przepadnie“. — aż się dośpiewają do tego, że sprawa prywatna każdego staje się rzeczą ważniejszą od sprawy całości i potęgi Rzeczypospolitej.

Wśród tego zwichrzonego, pławiącego się w słońcu „złotej wolności“ świata polskiego, są jesze w państwie i mężowie wielkiego ducha (Chodkiewicz, Żółkiewski, Skarga i t. p.), co ratują je nieraz od ostatecznego „trzaśnięcia“, są także zacne, proste dusze, nieopanowane dudem swawoli myśli czy temperamentu, które instynktem, przyrodzoną dobrocią własnych natur, trzymają się dróg prawych i nie dają się sprowadzać na manowce albo potrafią zejść z nich w porę.

Wszystkich ich, we wzajemnym stosunku do siebie, tych, co „chwieją ziemią“ i tych, co ją wspierają cnotą i ofiarą własną, pokazuje nam autorka w licznych odmianach i okazach, branych z różnych sfer i stron kraju, w szeregu malowniczych scen, rozgrywających się po zborach i synodach arjańskich, po obozach rokoszańskich i hetmańskich, w dworach szlacheckich i dworach wielkopańskich z królewskim włącznie, na sejmikach i bitwach, wreszcie wśród powszednich okoliczności bytu polskiego.

Nie podejmuję się sądzić, czy to wszystko, w przedstawieniu autorki, odpowiada w zupełności prawdzie historycznej, zresztą różnie ujmowanej i przez historyków z zawodu. Być może tacy uczeni nasi, jak profesorowie Brückner, T. Grabowski i t. p., mieliby niejedno do wytknięcia autorce z powodu, jak zostały przedstawione w powieści sprawy dyssydenckie; kto inny możeby zakwestjonował optymizm jej w sprawie opanowania przez Polskę tronu moskiewskiego etc... Być może, iż nie jedno tu odchyła się od ścisłości historycznej, ale to pewna, że ten cały świat ludzi i zdarzeń, wywołany przez autorkę z przeszłości, stworzony przez nią, jest w zgodzie z prawdą artystyczną, żyje i działa jak życie, porusza i zaciekawia. A dodać trzeba, że zajmuje i wzrusza sam przez się, jakim jest, tak jak został odczuty i odmalowany przez autorkę, bez pomocy drugorzędnych środków powieściopisarskich zaciekawiania i podniecania uwagi czytelnika, bez nadzwyczajnych przygód *à la* Ojciec Dumas, bez „bohaterów“ i „bohatek“, których roman-sowe losy do gorączki doprowadzają czytelnika i więcej obchodzą, niż wszystko inne w świecie, słowem bez anegdoty efektownej, wprowadzającej czytelników na drogi uroków fajerwerkowych.

Jest tu i anegdota, jest romans, którego bohaterami dwaj bracia Pielsze (Sebastjan i Pietrek), szlachcice z Czarnego Potoka na Podgórzu; romans żalony dla Sebastjana ale bez tragedji, a radosny dla Pietrka. To wszystko jest pomyślane wybornie, psychologicznie rozwinięte przenikliwie, służące doskonale do charakterystyki kilku osób, ale w powieści zajmuje niewiele miejsca i nie jest przeznaczone po to, by czytelników dzielić na obozy i sen im odbierać.

Postaci dwóch wspomnianych bohaterów powieściowych nie przyćmiewają innych, historycznych bądź zmyślonych, ich osobiste sprawy nie dają powodu do powikłań zagrażających równowadze życia ogólnego, są oni wyraźnie zaznaczeni na jego obrazie, organicznie z nim szarmonizowani, nie zajmują w nim wszakże miejsca środkowego.

Bo tu chodzi przede wszystkim o całość życia rozwijającego się na obrazie ówczesnej Polski. Rojno na nim od ludzi i wypadków historycznych, bądź zmyślonych. Charakterystyka poszczególnych osób możliwie pełna, bez względu na ich indywidualne znaczenie i rolę odgrywaną na widowni ogólnej.

Ludzie historyczni nie występują na koturnach (może jeden Żółkiewski wygląda niekiedy zanadto jak „z Plutarcha“), a jak ich cienie umie autorka po mistrzowsku wywoływać z przeszłości, o tem niech świadczy jej Chodkiewicz. Postać zwycięzcy z pod Kirchholmu zachwyca nie tylko tem, co jest w niej „na miarę Fidjasza“, nie tylko wyjątkowem pięknem rycerskiego ducha, lecz i tem, co go równa z najwykleszszymi śmiertelnikami. Oczywiście najprawdziwiej, najżywotniej wyglądają w powieści ci, którzy byt swój całkowicie zawdzięczają wyobraźni autorki. To samo można powiedzieć o zdarzeniach: historyczne są przedstawione żywo i barwnie, bez powiększania ich rozmiarów i znaczenia (np. bitwy pod Kirchholmem i Kłuszynem), — wypadki wszakże mehistoryczne, tworzone bez wszelkiego nacisku obowiązującej wiedzy, tchną większą prawdą i naturalnością w najdrobniejszych szczegółach.

Prostota i świeżość, powaga i szlachetność postawy bez pozy, siła wyrazu bez przesady — oto cechy twórczości autorki, które w tym jej utworze wyszły na jaw w całej pełni.

A przytem, co za ogromna wiedza, jaka niezwykła znajomość kraju, jak długi i szeroki, jego przyrody, ludzi, ich mowy, obyczajów, prozy i poezji ich życia! I jeszcze — jakie wrażliwe odczucie, jakie szczerze ukochanie tego wszystkiego!

Te i tym podobne wartości talentu artystycznego oraz duszy autorki „Złotej Wolności“, stawiają wysoko w hierarchji twórczej jej powieść ostatnią.

Jestem dla niej z jaknajszerszym podziwem! Nie przesadzajmy jednak, jak to już zrobił jeden zbyt podniecony gorliwiec, stawiając wyżej jej dzieło od dzieł w tym rodzaju jej wielkich poprzedników. (Sienkiewicza w tym przypadku).

Dość będzie dla chwały autorki, że stanęła na jednym poziomie z nimi, bo to już bardzo ładnie, gdy się stanie w jednym szeregu z co najlepszym Kraszewskim, z Kaczkowskim, z Sienkiewiczem, Reymontem, Żeromskim i t. p.

Dość dla niej zasługi, że podniosła wysoko, obniżony w naszych czasach, sztandar powieści historycznej.

WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI

JAN GWALBERT PAWLIKOWSKI

SZKIC LITERACKI

(Dokończenie)

IV

DZIEŁO „Mistyka Słowackiego“ budzi podziw śmiałością wypraw nad zawrotne przepaści metafizyczne i łatwością, z jaką autor szczyty poetyckie zdobywa. Jest w tem dziele chłód obiektywizmu badawczego i przejrzystość górskiego powietrza. Niemniej zdajemy sobie sprawę czytając, że tylko wielkie zamiłowanie mogło sprawić tę rzeźkość, z jaką

Hasło powrotu do przyrody... to hasło walki o najwyższe dobra kulturalne.

J. G. Pawlikowski

badacz dotrzymuje kroku wędrownikom Słowackiego. W przedmowie Pawlikowski czyni wyznanie, że książka jego jest „skromną splatą długu, zaciągniętego wobec ducha poety, którego wielkiemu dziełu zawdzięcza tyle niezapomnianych wzruszeń“. A kończy przedmowę słowami: „Innemu i droższemu dla mnie jeszcze obowiązkowi czynię zadość, kładąc na pierwszej karcie tej książki imiona Tych (książka dedykowana Rodzi-

com — prz. a.), których miłości i pierwszym ongi pod-
szepotom zawdzięczam organ poznania i podzi-
wu — oczy światła ciekawe¹⁾. Z daty pod przedmową
widzimy, że pisał te słowa w Zakopanem w swoim
słynnym domu stylowym (przez S. Witkiewicza skom-
ponowanym) „Pod jedlami“, mając przez okno czaro-
dziejski widok na szczyty Tatr z Giewontem na przedzie.

Na cały czas czytania dzieła Pawlikowski zginął
nam z oczu w tematach, dopiero w zakończeniu, roz-
prawiając się z krytykami, którzy mu przypisują skłon-
ności do mistycyzmu, tyle powiada o sobie:

„Za uprawniony uważam tylko jeden sposób
myślenia, ten, który opiera się na trafnem spostrze-
ganiu i logicznym a kontrolowanem przez doświadcze-
nie rozumowaniu. Mistyka takim sposobem myślenia
nie jest. W badaniu mojem jednak nigdzie nie odno-
siłem się do niej ze względu na jej zdolność meto-
dyczno-poznawczą. Rozpatrywałem ją w pewnym po-
szczególnym celu: w celu objaśnienia z niej po-
etyckich utworów. Jeśli można zatem mówić o war-
tościowaniu, to tylko o wartościowaniu poetyckiem,
a to jest zaprawdę według mego rzeczy widzenia,
zgoła różnem. Ale zresztą sąd jakikolwiek leżał wogóle
poza sferą moich założeń. Hasłem mojem było: zro-
zumieć, aby używać.“²⁾

Mamy oto w tem wyznaniu stwierdzenie bodźca,
o którym wyżej mówiłem. Pawlikowski przebija się
przez gąszcze, zdobywa niedostępne dla innych pun-
kty widzenia, aby się rozkoszować poetyckimi wido-
kami, jakie odsłania Słowacki. Jest to chyba najbar-
dziej wyrafinowany sposób używania intelektualnego,
na które może sobie pozwolić, bez doznawania mi-
stycznego zawrotu głowy, tylko rasowy esteta.

Ostatnie zaś słowo książki brzmi tak:

„Poznaliśmy prądy wiatrów, na których waży się
orzęł... Część drugą poświęcić pragnę śledzeniu
jego lotu na słonecznych wyżynach jednego z naj-
większych poematów świata“. Mowa o „Królu Duchu“.

Jak widzimy z tych słów, poznanie Pawlikow-
skiego kieruje się nie do prawd, które Słowacki uwa-
żał za odkryte przez siebie, lecz do dróg, któremi
poeta do tych prawd dochodził — do jego lotu; tak
samo, jak Tatrami interesuje się on nie dla celów ge-
ologicznych, petrograficznych, czy meteorologicznych,
lecz że go pociągają orłowe nad niemi loty. A sekre-
tem tych jego zainteresowań, wogóle jego złożoności
psychicznej jest utajona w nim poezja. Kiedy w suchej
pozornie przedmowie do katalogu wystawy podhalań-
skiej mówi o stylu sztuki góralskiej, wyczuwamy
w nim poetę, który poza ciesielkę i snycerstwo łyżni-
ków, wybiega duchem w góry, która mu ta sztuka
przypomina. „Całe Podhale w rzeźbie swojej powierz-
chni, w kolorystyce roślinności i skał, w postaci i cha-
akterze swego ludu, w woni nawet swego po-
wietrza tak właściwy sobie mające wyraz, odrębne
właściwości zachowuje także w budynkach i sprzęcie.
Kto ma oczy otwarte dla objęcia wielkich harmonji,
a nie zdolne tylko widzieć na odległość ścian własnej
zadusznej izby, ten w takich właśnie nastrojach, ura-
biających niby siły geologiczne lico ziemi — w stylu,
ujrzyć najwyższy objaw sztuki.“³⁾

I tutaj, jak w pracy o Słowackim, jesteśmy na
pograniczu estetyki i poezji. Pawlikowski przerobił
świadomością intelektualną bardzo głęboko swoje
życie psychiczne, a dotarłszy przez estetykę do tej
swojej kryjówki, gdzie zmysł twórczy czeka swego
wyzwolenia, musiał temu zmysłowi pofolgować. Poufnie

sam dla siebie począł tworzyć. Tai się z tą słabością
swoją, uważając ją za sprawę zupełnie osobistą, jakby
przytem sromął się daru z łaski, którym jest talent
dany od przyrody. Nie przyznawał się więc do swo-
ich utworów z krzywdą dla siebie i dla literatury. Od
pewnego czasu jednak, gdy pieczęć tajemnicy już
zdjęto⁴⁾, nie ma powodu wyłączenia tych pozycji
z bibliografji Pawlikowskiego. Bez uwzględnienia ich
ja np. nie mógłbym się kusić o napisanie choćby
takiej jak ta charakterystyki portretowej. To są wła-
śnie oczy w portrecie.

W druku, o ile wiem, pojawiło się tylko kilka
utworów Powlikowskiego⁵⁾: znam trzy utwory wier-
szowane oryginalne, dwa tłumaczone i jeden wspaniały
poemat prozą: Tryglaw.

Bajka o Tryglawie jest dla mnie arcydziełem
prozy poetyckiej. Daje ona doskonałe pojęcie o tem,
gdzie sięga i obraca się wyobraźnia Pawlikowskiego,
kontemplującego w przyrodzie zawsze — duszę ludzką.
Jest to baśń o duszy, która zwątpiła o sobie i samo-
kalektwem sama się w potęgę ograniczyła.

W postaci mitycznej Tryglawa Pawlikowski ucie-
leśnił widmo psychologicznie ujęte potęgi duchowej,
obdarzonej wiedzą trzech bytów: teraźniejszego, prze-
szłego i przyszłego. Byty te w tej ucłowieczonej
potęgę reprezentowane są w trzech głowach na jed-
nym korpusie. Głowa złota, poetycka, sięgająca świa-
domością w kręgi metafizyczne, nie umiejąca godzić
się z obecnością, oderwała się w przestwór w czas
burzy. Głowy, wspominającej to, co było — nie było,
Tryglaw postanowił sam się pozbyć i dopoty tłukł nią
o skały w górach, aż odpadła w przepaście. Wtedy
zrodzone z żywiołów bóstwo przestało się z niemi
rozumieć i szalejąc z pustki, poczęło zazdrościć szczęścia
zwyktemu śmiertelnikowi, któremu nie można wytłu-
maczyć, że szczęście jest złudą, bo dla niego właśnie
złuda jest szczęściem. Spotkanie Tryglawa z filozofem,
który w tej wszechności reprezentuje świat ludzki,
wywołało w pocie wybuch dobrego humoru. Komicz-
ność tej figury książkowej, popychanej przez mądrą
kozę i popisującej się przed Tryglawem wiedzą o by-
cie, nie ma sobie nic równego w polskiej poezji.

Dla moich celów, gdy chodzi o charakterystykę
osobistą autora, najprzystatniejsze są utwory liryczne,
odsłaniające wnętrze, tak starannie ukryte nawet w ar-
tyście. Biorę oto najpierwszy ze znanych mi wierszy,
sonet „Kwiaty zdradliwe“, aby pokazać na tym dosko-
nałym przykładzie wysiłku artystycznego, jak schwy-
tany tam jest świadomością artysty stan jego. Uczu-
wszy potrzebę, pod wpływem wzruszenia poetyckiego,
utrwalić swój stan, puszcza myśli na wolność i patrzy
w siebie, jak się te myśli kojarzą z uczuciem i prze-
obrażają w świadomość uczuciową, a potem w arty-
styczną; jak ze słów, które niby pod klawiszami wy-
skakują skądś z podświadomości, układa się sonet;
a gdy wreszcie świadomość ogarnęła najosobistszą

⁴⁾ Ujawnił ten fakt St. Pieńkowski w r. 1928 w „Gazecie
Warszawskiej“ Nr. 321, pisząc o utworze Jana Pawlikowskiego
(syna) pt. „Bajda o Niemrawcu“.

⁵⁾ Mianowicie: Kwiaty zdradliwe „Lamus“ 1912, s. 66. —
Gdy luty mnie oduje wiatr. „Wierchy“ I 1923, s. 192. — Odeszła
mnie dusza. „Wierchy“ III 1925, s. 118. — Tryglaw, baśń.
„Lamus“ IV 1913, s. 3. Ten ostatni utwór jest prozą. — Przekłady
z Fr. Ruckerta i W. Jordana. „Myśl Narodowa“ 1925, Nr. 12. —
Wszystkie te utwory noszą podpis: J. B. K.

⁶⁾ Z mitologii starosłowiańskiej autor wziął tylko nazwę
i to wątpliwą. Na pomysł tej postaci mogły wpłynąć ryciny
w zbiorach medycznych, przedstawiające bóstwo z trzema twarzami.
O tych rycinach dawał wiadomość Marjan Sokołowski w r. 1878
w Sprawozdaniach Komisji do badania sztuki.

¹⁾ „Mistyka Słowackiego“, 1909, s. VIII.

²⁾ Tamże, s. 545. Podkreślenia są moje.

³⁾ Wystawa Podhalańska. Lwów 1911. Przedmowa, s. 4.

kryjówkę jaźni, jak zareagował nawet somatycznie...
Czytajmy:

Myśli zmęczonych pszczoły puściłem na wolę
Z waru ciemnego ula. Już lecą błyszczące,
Gdzie do łąk ukwieconych uśmiecha się słońce —
Matka, śliczne swe dziecię niosąca w podole.

Spółem — kołem — parami — to znowu w rozłące
Gonią się — stronią — dzwonią, to w górze, to w dole
Myśli pszczoły, niewinną swą czyniąc swawolę,
W iskry złote zatlone na tej miodnej łące.

Na kunsztowny sonetu zlep dają swe miody
Słów kwiaty, wonie wspomnień, zwidy, czuciu, zmysły...
Nie wiesz, skąd ci plon jaki z bogaci te gody...

Myśli pszczoły nad kwiatu kielichem uwisły,
Ciekawe, co znów rymu wyciągną niewody?...
A w tem twarz mi pobladła — a z oczu łzy trysły.

To głębokie wynurzenie osobiste, które tylko artysta może uczynić, ilustruje moją tezę, poprzednio postawioną, że stosunek uczuciowo-czynny Pawlikowskiego do przyrody, wyrażający się w jego studjach i działaniach społecznych, zawdzięcza swoją podnieętą afektową nie samemu procesowi poznawania świata zewnętrznego, jak to Pawlikowski przedstawia, lecz procesowi innemu, który można nazwać procesem poznawania wewnętrznego swojej własnej przyrody. Zanim uczucia podziwu i uwielbienia na rzecz przyrody stały się motorem zawierania takiego czy innego (poznawczego czy czynnego) stosunku do przyrody, były one wprawdzie w stanie surowym w zmysłach (*in sensu*) i tam znalazłszy kontakt ze świadomością (która jest poznaniem stanów wewnętrznych), miały już swoje życie swoiste jako wzruszenia natury estetycznej. Tamto głębokie wzruszenie — a nie dopiero poznanie umysłowe — predysponuje stosunek do świata zewnętrznego, nadaje mu koloryt i temperatę.

Sonet powyższy ilustruje scenę, która się odbywa między świadomością a owym stanem wzruszenia sam na sam, bezpośrednio, z pominięciem ogniwa czynnych uczuć, wytworzonego przez kulturę w atmosferze społecznej. Jest to zdarzenie w życiu duchowym osobiste, w którym się streszcza w esencję osobistość. Jednostki wysokiej kultury, jak Pawlikowski, w tem sam na sam za swoją naturą nie knują spisku przeciwko kulturze, ale folgując osobistej rozkoszy, pragną ten stan utrwalić i w tym celu ze swego daru poznania i woli czynią świadomość artystyczną — utrwala ją ten stan w sonecie.

W sonecie powyższym przedstawiony jest w pięknym skrócie ten proces psychologiczny. Świadomość intelektualna puszcza „na wolę” zmęczone myśli, żeby spoczęły bezpośrednio na kwieciu dostępnym zmysłom. Wtedy budzi się wszystko to, co zmysły kiedykolwiek zapamiętały, budzą się „wonne wspomnień, zwidy, czucia, zmysły”. A kiedy człowiek znajduje się sam na sam z temi zmysłami, wtedy na dnie wszystkiego ma już tylko łzy po utracionej łączności z przyrodzeniem.

I oto widzimy przekrój jednostki duchowej na wysoką miarę kultury. Na spodzie duszy, która z siebie przez kulturę dziedziczną i osobistą zrobiła maksymalny użytek społeczny, szerokiem rozpięciem intelektu i woli obejmującej świat cywilizacji, gdy ją streścić przez zetknięcie z jej początkiem, pozostaje w wyniku: kropla łzy. Ale to warte trudu, jaki poniosły dzieje duszy, żeby stworzyć swój świat osobny. Te łzy poetów są brylantami w koronie cywilizacji.

Przez dotarcie do tego najgłębszego lirycznego Ja człowieka określiliśmy pion zasadniczej jego po-

stawy. W tak pełnej odmianie indywidualności kulturalnej linia jaźni jest zarazem linią rodzimości. Tę linię uważam za wskaźnik udatności typu cywilizacyjnego. Widzimy, że dąży ona bez skrzywień przez całą istotność duchową przerzucona na myśl i działanie, jest osią całej misternej struktury kulturalnej Pawlikowskiego, którą dźwignął organicznie ze swoich przyrodzonych podstaw. Intelektualna budowa Pawlikowskiego jest przepojona jego jaźnią we wszystkich czynnościach. Poezja jego, płynąca z daru przyrodzonego, nie da się oddzielić od dalszego ciągu człowieka i harmonizuje ze środowiskiem. Tem środowiskiem jest dla każdego atmosfera jego narodu. Człowiek jest wtedy dopiero „kulturalny”, kiedy głowę jego można wysować w tło historycznej cywilizacji w sposób harmonijny, żeby się widziało — on jest stąd, tu potrzebny i niezbędny.

Pawlikowski należy do najbogatszych odmian wysokiej kultury. A za wysoką trzeba uważać tę, która uzdatnia jednostkę do odgrywania roli kierowniczej w systemie cywilizacyjnym narodu. Pawlikowski jest stylowym Polakiem swojej epoki, jednym z tych, którym powierzyć można twórczość narodową bez obawy, że styl jej popsuje.

Dusza jednostki twórczej jest mikrokosmem swego świata cywilizacji, do której należy choćby dla tego, że sama jest przezeń stworzona. Świat ten jest całością z połączenia ducha i danej narodowi przyrody (w ziemi i ludziach). Człowiek prawdziwy musi być wierny swym darom przyrodzonym i z nich organicznie swój byt duchowy rozwijać, tak samo jak naród, którego dzieje są twórczością, snutą z podstaw przyrodzonych.

W głębi wszystkiego jest ziemia, skąd nasz ród; a linia dziejów pokrywa się z linią rodzimości. W poczuciu rodzimości tkwi jaźń narodu, a jego świadomość historyczna jest linią, którą ta jaźń za sobą znaczy. Zanik poczucia rodzimości czyni przerwę i zalamania w tej linii katastrofalne dla dziejów.

Człowiek oświecony (kulturalny) jest odpowiedzialny za tę linię — to się wie jakby z przysłowia, ale jak to zrozumieć, jeśli się nie zobaczy, że dla tego tylko człowiek ten odpowiedzialność podobną może ponosić, że w zasadzie na tych samych prawach jest zbudowany. Świadomość osobista idzie też po linii historycznej przeżyć i sięga niejasnego początku jaźni, zaledwie oddzielającej się od świata zewnętrznego wrażliwością na to, co „nie ja” i stanowiącej najgłębszą osobistą kryjówkę indywidualności.

Dyspozycje psychiczne oglądania się w przeszłość są tak silne i decydujące w sprawie rzutowania jaźni przed człowieka (w przyszłość), że wprost zlewają się z psychiką ruchową. Gdy chodzi o sprawy bytu i ogólniejszej orientacji, fakt ten występuje zupełnie wyraźnie. W chwili niebezpieczeństwa utraty życia podobno błyskawicznie staje przed oczyma przeszłość; gdy naród jest w trosce o byt zachwiany, to jak pamiętamy, wyobrażenia przestaje przebiegać zasłona przyszłości (nawet przestawała interesować obecność bytu narodowego), wzrok kieruje się ku przeszłości. Na myśl o walce stawały obrazy przeszłości, do której musimy powrócić, aby odzyskać potęgę.

Podobnie rzecz się przedstawia z tęsknotą do przyrody. Gdy chcemy przerwać odgródzenie od niej, wytworzone przez zacieczenie się w kulturze tworzonej, wtedy nie wołamy: a więc naprzód — do przyrody, lecz powiadamy: wracajmy do przyrody. Chociaż przecie kto inny odszedł, a kto inny miałby „wracać”. Pochodzi to stąd, że przyrodę widzimy na linii historycznej, jako pierwszy punkt wyjścia,

z którego poczęliśmy niegdyś swój rozwój jak gatunek, nawet jako rodzaj.

Oba te wątki instynktów, decydujących o naszym stosunku do narodu i do przyrody, są wciągnięte do psychiki twórczości cywilizacyjnej. Ale ten drugi, sięgający pamięcią źródeł przyrody, różni się tem od pierwszego, że nie jest wytworem psychiki społecznej, lecz własnością przyrody osobnika. To jest jego własność osobista, powiedziałbym, źródłowo-poetycka.

Indywidualność Pawlikowskiego jest tem bogatsza, że tak głęboki ma fundament, bo aż w oparciu o uświadomiony instynkt przyrody. Dlatego jest rzecznikiem odrodzenia cywilizacji przez ożywienie momentu przyrody, która do niej wchodzi, że sam odnalazł z nią styczność w sobie jako poeta. Cywilizacja, którą tworzymy, musi mieć ten polot poetycki w sobie — inaczej nie będzie w niej miejsca na najwyższe dobra kulturalne. Ów pierwiastek estetycznego instynktu (czy się z niego robi użytek na rzecz sztuki, czy nie—to sprawa osobna) wchodzi w skład wszystkich czynności ducha w charakterze idealizacyjnym. U Pawlikowskiego widzieliśmy go we wszystkich jego działaniach. Całe jego poczucie historyczne przeniknięte jest tym pierwiastkiem poetyckim.

Pamiętam wrażenie, jakie na mnie zrobił odczyt Pawlikowskiego w r. 1908 na uroczystym obchodzie 3 maja w sali ratuszowej Lwowa. Uproszono go o przemówienie jako polityka, prezesa największego stronnictwa. Oczekiwano mowy stereotypowej, dewocyjno-pedagogicznej, operującej hasłami „tromtadratyczniemi” i demokratycznymi, tudzież aluzjami do położenia obecnego. Pamiętam zdziwienie słuchaczy, kiedy mówca w pięknym obrazie poetyckim zagaił rzecz o uroku, jaki wywiera „pamiętka”. Opisywał wyciągniętą ze starego biurka szufladę, z której dochodzi z wonią pożółkłych papierów pamięć rzeczy dawnych; opisywał, jak ta pamięć wskrzesza, jak czarodziejsko czyni z przeszłości obecność i poucza, że duch narodu ma życie ciągłe, nie znające czasu. Wizja poetycka Polski dawnej dokonała więcej wśród słuchaczy, niż kwiecista mowa programowa. Stamtąd widzieliśmy nędzę obecności i dalekie w przyszłość perspektywy. Ożyła Polska konkretnie. Nie była to już figura logiczna ani polonistyczna, lecz Polska żywa, którą trzeba widzieć oczyma duszy, aby dla niej coś zrobić.

Zasadniczym rysem kultury Pawlikowskiego jest to, co nazwałbym jej samowładnością. Nie szedł, wytworząc z siebie wartości cywilizacyjne, w kierunku najłatwiejszym, wypracował w sobie siłę poznania i woli, aby dać z siebie *maximum* użyteczności. Nawet wtedy, gdy wszedł potem na teren dla siebie najbliższy: poezji, to robi ze swojego z nią obycia użytek naukowy. Układkiem zaledwie pozwalał sobie na twórczość własną, raczej dla próby. Widzę w tem moc przezwyciężenia.

W gruncie rzeczy Pawlikowski wiele ma wspólnego ze Słowackim, który także widzenie poetyckie uznawał za środek poznania. Odgraniczył się od mistycyzmu rogatekmi poznania doświadczalnego, ale w tym zakresie wabiły go tak samo rozkosze poznania „genezyjskiego”. W komentarzu swoim do „Króla Ducha” Pawlikowski sam się przyznaje do tej dyspozycji: „Chcąc to dzieło zrozumieć, trzeba poznać jego genezyjską podstawę, ów grunt, na którym wyrosło, a chcąc je odczuć, trzeba wejść w tę atmosferę, którą oddychał jego twórca. Nie jest to rzeczą łatwą i być może

bez pewnych indywidualnych predyspozycji wogóle nieosiągalną”⁷⁾.

W tem przezwyciężaniu swojej przyrody, swojego najgłębszego Ja na rzecz twórczości społecznej widać charakter i styl, wierny tradycjom łacińskiej cywilizacji.

Dla podcieniowania tła portretu dodam jeszcze jedną refleksję. Hodowla inteligencji, uwzględniająca z natury rzeczy przedewszystkiem kulturę zdolności poznawczych, bardzo sprzyja uwrażliwianiu jednostki na przejawy piękna. To co nazywamy rafinowaniem wrażliwości i smaku, jest rezultatem emancypowania władz poznawczych z ogólnego życia psychicznego. To, co w stanie pierwotnym było jakimś ogólnym odczuwaniem świata, z którego umysł nie umiał wydzielić własnej jaźni i tę rzutował antropomorficznie na zjawiska, — w miarę postępów kultury „rafinuje się” przez oddzielanie poznawania obiektywnego (naukowego) od stanów poznawczych subiektywnych (nastrojów, zwidów, odczuć zmysłowych). Wyostrome władze poznawcze zwracają się ku wnętrzu swego życia duchowego i odnajdując obiektywnie te stany dotąd podświadome, dają im od siebie świadomość estetyczną (artystyczną).

Ponieważ w każdym człowieku jest na spodzie coś, co go robi „poetą”, więc bardzo łatwo spostrzec w szkołach, gdzie się fabrykuje inteligencję, że młodzież traci głowę i nie wie, co wprzód robić: czy się uczyć, czy pisać poezję. Bo obie te dziedziny jednocześnie przez uprawę intelektu są wzruszone. Tu więc — zwłaszcza w społeczeństwach świeżych, gdzie pokłady przyrodzone w jednostce nie leżą zbyt głęboko pod warstwą uprawioną, — umysłowości grozi zalew wynurzeń poetyckich bez wartości humanistycznej.

Kultura rozwija się normalnie tam, gdzie usiłowania hodowli powszechnej i osobistej skierowane są na rozwój władz poznawczych przedmiotowych i wolowych, ku wiedzy i działaniu. Na poetów nie trzeba pracować. Oni się rodzą sami. Poeta, w znaczeniu artysty, przebija się sam i taki tylko zdobędzie miejsce w sztuce, który będzie miał tę wysoką kulturę duchową. Talentowi trzeba dać człowieka, a tego się robi przez kulturę umysłu i charakteru. Żeby mieć wielką sztukę, trzeba mieć wysoką klasę człowieka kultury, trzeba mieć wielki styl.

Pawlikowski nie uprawiał poezji. To, co ogłosił, to na próbę dla siebie w późniejszym wieku. A dlaczego ona jest tak niepospolicie piękna? Bo się do niej dotknął człowiek wysokiej kultury, mający wiele do powiedzenia o swojej duszy.

Trzeba naprzód być czemś, żeby być kimś. Nie ma hodowli poetów. Są ludzie z pełną kulturą. Jeśli ich stać na artyzm — Bogu dzięki. A jeśli nie, ich poezja odnajdzie się w dziełach żywych z tem większą siłą, im mniej się jej spalało na popis zewnętrzny.

Jeśli duchowość człowieka kulturalnego wyobrażamy sobie w kształcie kolumny, wzniesionej na podwalinie jego darów przyrodzonych, to ta kolumna pełni rolę wieży ciśnień względem tych darów. Wartość talentu wzrasta w stosunku prostym do wysokości kultury.

W Pawlikowskim mamy typ ascety, przezwyciężającego życie uczuciowe myślą i pracą kulturalną. A przecież stać go na rozrzutność, bo ma w sobie duże bogactwa przyrodzone. W kulcie przyrody, któremu się oddaje, są wszystkie pierwiastki kultu religijnego dla jej Stwórcy. Szkoła epoki, w której się hodował, dała hymnowi jego duszy swoistą formę. Ale i pod tym względem trzyma się stylu cywilizacji polskiej, mocno, organicznie w ziemię wrośniętej.

ZYGMUNT WASILEWSKI

⁷⁾ Król Duch. T. II (Komentarz), s. 91.

LIBERUM VETO

Nasz etatyzm. — Właściwa jego istota. — Urządowanie sumień. — Talenty nieostemplowane bez miejsca. — Co to jest taktyka. — Bohaterowie Plutarcha. — Plaga małości.

POMIĘDZY „zwycięzcami“ w obecnej, nieskończonej walce stronnictw i żywiołów, odznaczają się szczególnie dwa gatunki: jedni „zmagają się z Polską“, to jest ją nienawidzą, lub nią gardzą, chcą ją skrzepować swoją samowolą i uczynić korną poddaną swego despotyzmu, drudzy pragną z niej wyssać wszelkie możliwe dla siebie korzyści, otworzyć w niej wszystkie źródła osobistego wyzysku, co nazywają „radosną twórczością“. Zarówno dla jednych, jak drugich najpewniejszą i najkrótszą drogą jest „etatyzm“, czyli upaństwowienie przedsięwzięć społeczno-gospodarczych. Nie wyrósł on u nas z jakiegoś planu gospodarczego, bo jego sprawcy i obrońcy żadnego planu nie mają i w swych pomysłach kierują się przeważnie interesem własnym lub swojej gromady. Jeżeli państwo przyjmuje w swój zarząd jakiś majątek ziemski, fabrykę lub kopalnię, to naturalnie dla panujących w niem zwycięzców otwiera się pewna ilość posad nietylko dobrze płatnych, ale dających sposobność zdobywania dochodów ubocznych oraz nadużyć niekontrolowanych i niekaranych. Nazwano nasz etatyzm „socjalizmem państwowym“. Za wiele dla niego zaszczytu. Jest on po prostu systemem, w którym „uzdrowiacze“ i „czyszciciele“ moralności przyznają sobie prawo „zwycięzców“ do zdobytych łupów.

„Po nas potop“ może nastąpić — mówią etatyści — a dopóki jesteśmy na wierzchu, używajmy. I używają. Coraz mocniej wyrażający się przeciw temu protest społeczeństwa jest dążnością ratunkową. Wielokrotnie niezbitymi dowodami stwierdzono, że gospodarka rządowa jest z reguły gorszą i kosztowniejszą od prywatnej; uszczuplenie pól pracy inicjatywie prywatnej ogarnia paraliżem życie narodu i zmniejsza sumę jego energii twórczej, wysiłek zastępuje nie dbałością, oszczędność rozrzutnością, karność bezkarnością, organizację samowolą, uczciwość nadużywaniem. W tym kierunku posunęliśmy się już tak daleko, że — jak wyraził się jeden z publicystów — upaństwowiliśmy, a raczej urzędowiliśmy już nawet sumienie i moralność. Określenie doskonałe i odsłaniające niebezpieczną pochyłość, po której szybko się staczamy. Mamy obecnie — jak w bolszewji — nietylko rządową politykę, ale rządową naukę, sztukę, estetykę, etykę, logikę, sprawiedliwość, wszystko, czem naród żyje, czem się kieruje, co wyznaje i co tworzy. Gdyby między nami pojawili się: Newton, Galileusz, Leonardo da Vinci, Rafael, Mozart, Darwin, Napoleon, Kant, Bentham, Mill, Edison i inni geniusze, czy oni otrzymaliby katedry w uniwersytetach i akademjach, posady w urzędach, godności w wojsku, wysokie stanowiska w sądach, jeżeliby nie wyznawali wiary sanacyjnej i bałwochwalczej? Bynajmniej. Nie wiemy wcale, jakie posiadamy siły twórcze, domyślamy się tylko, że one istnieją w bezczynności i że społeczeństwo traci nieobliczalną ilość ich czynów. Przy wszystkich bowiem warsztatach pracy stają etatyści, których głównym świadectwem uzdolnienia jest przetłumaczona z rosyjskiej „*blagonadieżności*“ — prawomysłność. Tak np. Wł. Seyda był znakomitym prawnikiem i sędzią, ale nie był prawomyslnym i „carskim“, dlatego musiał opuścić stanowisko prezesa w Sądzie Najwyższym.

Czytelnik łatwo dostrzeże, że nasz rodzimy etatyzm różni się od innych tego imienia systemów i słuszniej powinien być nazwany żandarmizmem lub

parazytyzmem. Skierowane też przeciwko niemu ataki opinii społecznej uderzają w niewłaściwą jego stronę. Nie chodzi w nim bowiem o socjalizację gospodarki państwa, o ujęcie życia ekonomicznego w ramy rządowe, ale o zmonopolizowanie go dla wiernej służby i faworytów. Jeżeli zaś socjaliści widzą w nim zapoczątkowaną organizację według ich dążeń, to dlatego, że na obecny okres nie chcą być ideowcami, lecz komediantami, usunęli z repertuaru swych przedstawień dramaty i tragedje a wprowadzili pantominy baletowe i farsy. Jedno z najpyszniejszych tego rodzaju wystąpień oglądaliśmy niedawno w sejmie. Stronnictwo Narodowe podało wniosek wyrażenia nieufności ministrowi, który pogwałcił zasadę Konstytucji i uchwałę sejmu w sprawie usuwalności sędziów. Socjaliści uznawali słuszność tej nagany, ale ją udaremnił, wstrzymawszy się od głosowania dlatego, żeby nie sprawili wrażenia, że walczą w jednym szeregu obok narodowców, że stanowią ich zastęp posłków.

Jakież to wstydlive i bojaźliwe dziewictwo zachowują ci rzecznicy „czystości klasowej“! Jakże serdecznie uśmieliby się z tej skromności ich przodkowie, sławni Beble, Liebknechty i Singery, którzy nieraz głosowali łącznie z katolickimi centrowcami przeciw Bismarkowi i na urodziny przysyłali bukiety Windhorstowi, który przecie był „czarniejszym“ od Trampczyńskiego i Rybarskiego. Nasz zakatarzony socjalizm nie czuje w swej taktyce stęchlizny zaścianka. Nie spostrzega, że rozwijając ją logicznie powinienby również nie oświadczać się za tabliczką mnożenia, za kuliścią ziemi, za falami radiowemi, bo one wchodzi w skład wiedzy narodowców. Taktyka! Ta sławiona mądrość polityczna jest płodną małą najszpetniejszych i najdziwniejszych głupot. Jedyną taktyką dla ludzi rozumnych i uczciwych jest prawda i słuszność. Wszystkie wykręty, sofizmaty, lisie manewry, przywiązywania wysoko tego, co powinno wisieć nisko, to wystarcza dla otumanienia tłumu ciemnego, ale z pewnością budzi odrazę nawet w rozumnych socjalistach. Maską zbyt długo noszona przyrośnie wreszcie do twarzy, a w sidłach taktycznych, zastawianych na przeciwników, zaplączą się i uduszą sami łowcy.

Gdyby znalazł się polski Plutarch, któryby chciał z naszego sejmu zebrać życiorysy sławnych mężów, spisałby niewielki tomik, a w nim niepomieściłby ani jednego „taktyka“. Ale trzeba przyznać naszemu parlamentowi, że on coraz bardziej przestaje być równiną mierności i że już dziś wznoszą się w nim wysokie szczyty. Inną miarą oceniają wzajemnie swoje zdolności i siły posłowie w sejmie, a inną obywatel w społeczeństwie. Tam największą wartość posiadają przedstawiciele mocnych stronnictw, zręczni taktycy, wymowni adwokaci, przebiegli krętacze; tu ludzie mądrzy, śmiali, konsekwentni i prawi. Z tego stanowiska patrząc na nasz obecny sejm, usuwając z sądu o nim probierze partyjne i stosując wyłącznie miarę uzdolnienia politycznego, możemy powiedzieć, że mamy posłów, którzy byłiby chlubą najlepszych parlamentów europejskich. Mowy Trampczyńskiego w sprawach praworządności, S. Dąbrowskiego w wojskowych, Strońskiego w zagranicznych, Rybarskiego w ekonomicznych, są pięknymi światłami, rozjaśniającymi ciemność naszego życia. Najliczniejsze stronnictwo B.B. składa się z mniej lub więcej wytresowanej czeladzi. Natomiast senat nie ujawnił ani jednego wybitnego talentu. Taka jest opinia niezarejestrowanego w żadnej partji obywatela, bezstronnego czytelnika sprawozdań parlamentarnych, który zdala od sejmowej areny, i toczonych na niej walk waży w swym są-

dzie zdolności zapaśników i ich charakteru. Ma to dla naszego społeczeństwa szczególne znaczenie. Tak długo przypatrywaliśmy się w poprzednich sejmach solistom parlamentarnym, niegodnym uczestniczenia swemi lichymi głosami nawet w chórach, że wielką radość sprawiają nam występy talentów prawdziwych. A tak nas zmęczyła tęsknota do nich, że dziś gotowi jesteśmy okłaskiwać nawet wyznających odmienne przekonanie, byle nie słyszeć pisku szczurów, syku płazów i ujadania brytanów. I te głosy odzywają się dalej zwłaszcza w różnorodnej i różniamiennnej gromadzie, spędzonej do kupy i wspólnego żłobu batem lub paszą. Czytelnicy moi rozumieją mnie niewątpliwie, gdy wyznam, że np. mowy prof. S. Dąbrowskiego, chociaż przeciążone cyframi i wywodami specjalnemi w sprawach wojskowych, przejmują mnie głębokim podziwem i szacunkiem. Ażeby zaś nie posądzono mnie o stronność, dodam, że przemówienia prof. A. Krzyżanowskiego były również niezmiernie pouczające. Wielka szkoda, że ten poważny ekonomista, który nie chciał być ani „takterem”, ani akrobatą parlamentarnym, ani żołdakiem stojącym ciągle na baczność, nie mogąc oddychać stęchłą, koszarą atmosferą swej partyjnej brgady, rzekł się podobno mandatu. Ludzi wysokiej miary umysłowej i moralnej nawet z przeciwległego bieguna ideowego można zawsze zrozumieć i uszanować; najgorszym, najszkodliwszym jest gatunek małych, zwłaszcza rozdętych wielkimi ambicjami i stępionych w sumieniu. Ci są mułem na na padole, a plagą na wyżynach.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

G Ł O S Y

PRZYKRA KSIĄŻKA

PAN Henry Béraud, słynny reporter paryski, któremu książki „*Ce que j'ai vu à Moscou*” i „*Ce que j'ai vu à Berlin*” wyrobiły poczytność światową, wydał świeżo tom p. t. „*Rendez-vous européens*”, bardzo w Polsce rozkupowany. Obok entuzjastycznych, pełnych szacunku i sympatii rozdziałów poświęconych Mussolinemu, Stanleyowi Baldwinowi, Austenowi Chamberlainowi, Primo de Riverze, księdzu Seiplowi, Tomaszowi Massarykowi, Edwardowi Beneszowi i Mustufie Kemalowi znajdujemy tam następującą charakterystykę Józefa Piłsudskiego:

„Jest to człowiek sześćdziesięcioletni, słusznego wzrostu, muskularny. Ma krzaczaste brwi, jasne, surowe oczy, grube wąsy, minę gniewną. Sam jeden w całej armii polskiej nosi zamiast rogatywki — okrągłą czapeczkę robotniczo-chłopską. Wyróżnia się także mundurem. Podczas gdy całe wojsko chodzi w uniformach koloru *khaki*, marszałek nosi mundur błękitny własnego pomysłu. Nie pokazuje się nigdy w innym stroju. Ubrań cywilnych nie używa. Zawsze występuje uzbrojony, jak tego wymaga regulamin wojskowy, którego sam jest autorem...”

Pan Béraud, który przez Mussoliniego przyjęty był parokrotnie, a z Kemałem przegawędził całą noc w... *dancingu*, marszałka Piłsudskiego nie zastał niestety w Warszawie. Widział tylko jego portret wiszący na Zamku. Píše o nim:

„Jest to malowidło neoimpresjonistyczne. Wyobraża marszałka Piłsudskiego w stroju galowym, z piersią obwieszoną medalami, na tle chmur dymu i błyskawic armatnich. Marszałek stoi w takiej pozycji, w jakiej po muzeach widzimy marszałków cesarstwa napoleońskiego: czoło w chmurach — płeść na rękojeści szabli. Płaszcz przewieszony przez ramię wydyma się od huraganu sprawianego przez pociski. Jest to dzieło szkolarskie, w kolorystyce modernistycznym. Autor mieszał na palecie siarkę z witriolem. Rzekłbyś — Horacy Vernet

przemalowany przez Vlamincek. Podobne malowidła przekazujące potomności postacie historyczne w pozycjach najbardziej im miłych, więcej nam mówią o ich charakterze, niż długie z nimi rozmowy i niż ich zwierzenia starannie przemysłane...”

„Trzykrotnie — pisze dalej p. Béraud — Józef Piłsudski mógł chwycić w dłonie władzę dyktatorską. Pierwszy raz w styczniu r. 1919. Powtórnie podczas rozruchów w r. 1922. Po raz trzeci w maju 1926. Dyktaturę tę mu ofiarowywano, wpychano mu ją poprostu w ręce. Trzykrotnie wypuścił ją z rąk i wycofał się. Czemu to objaśnić?

Powie ktoś: Piłsudski szanuje konstytucję dba o prerogatywy ciała prawodawczego. Tak nie jest. Marszałek bowiem, który jednym gestem mógł rozpędzić sejm na cztery wiatry, wolał wystosować obelżywą proklamację, w której sejmów został nazwany dosłownie: sejmem nierządnic. Prasa w swoim czasie wydrukowała ową deklarację. Gwałtowność inwektyw w niej zawartych nie da się z niczem porównać. Najbardziej jednak zastanawia fakt, że w deklaracji owej z pod elokwencji gniewnej i dumnej, wyziera brak decyzji...”

Parę stron dalej czytamy:

„Gdy wybuchła wojna, Piłsudski, Polak z Wileńszczyzny, pełen gniewu i nadziei patriotycznych, poszedł walczyć z Rosją w szeregach niemieckich. Czyż mógłby sobie wyobrazić Polaków z Poznańskiego, walczących w szeregach rosyjskich?...“

„Patrząc na marszałka, posłusznego zawsze impulsom natury, która często dyktuje mu czyny energiczne raczej niż obrachowane, można by pomyśleć, że brak mu sprytu. Byłby to błąd. Marszałek spryt posiada, całą jednak subtelność i rozwagę polityczną trwał w grze międzypartyjnej...”

Poza przytoczonymi wyżej, książka p. Béraud'a zawiera sporo innych niemiłych dla Polski sądów. Egzemplarz jej, który mamy przed sobą, pochodzi z 13 tysiąca nakładu. Zważywszy, iż poprzednia książka tegoż autora rozeszła się w 12.000 egzemplarzy — jest się czem martwić.

WSPÓLNY FRONT

MALA książeczka, o 100 stronach, wydana w roku ubiegłym w Algierze¹⁾, będąca zbiorem artykułów, nadesłanych z najrozmaitszych państw, a dotyczących kwestji żydowskiej, zasługuje na spóźnioną choćby wzmiankę w polskiej prasie. Wspólny front 17-tu narodów europejskich i dwóch pozaeuropejskich (Egipt i Stany Zjednoczone) przeciw Żydom, pierwszy mały przegląd sił i środków walki, niedostateczny jeszcze, niekompletny, nie obejmujący wszystkich dziedzin życia, niemniej jednak interesujący.

Porównyując programy stronnictw antyżydowskich w poszczególnych krajach, widzimy, że najdalej idą w swoich dążeniach stronnictwa antyżydowskie Niemiec i Rumunji. Pełen rozmachu program antysemitów rumuńskich stawia żądania wyeleminowania Żydów z łona społeczeństw europejskich, zmuszenia ich do wycofania się w obręb terytorjum, które im zostanie przyznane, a którem jednak nie może być zbyt mała, stanowiąca dziś własność Arabów i posiadająca grób Zbawiciela, Palestyna. Może natomiast spełnić tę rolę ofiarowywana już raz Żydom Uganda, doskonale zaś nadawałby się do tego celu zdolny pomieścić Żydów całego świata, Madagaskar. Narody Europy zapłaciłyby chętnie Francji za ustąpienie wyspy indemnizację, dzięki której pozbyć się będą mogły Żydów.

Identycznie zupełnie brzmi program antysemitów niemieckich: „Absolutne wyeleminowanie Żydów z łona narodów aryjskich” uważa za pierwszy warunek odrodzenia narodowego wszystkich ludów „chorąży nie-

¹⁾ „*Le front unique*”, Oran, nakładem „*Petit oranais*”, rue Général Joubert 4, cena 3 fr.

mieckiego antysemizmu", autor wielu cennych prac publicystycznych, wydawca „*Weltkampfu*", p. Alfred Rosenberg z Monachjum. „W tym kierunku iść winny wszystkie wysiłki międzynarodowe”.

W tym samym duchu przemawia Teodor Fritsch z Lipska: „Należy we wszystkich parlamentach postawić żądania, aby Żydzi zostali pozbawieni praw obywatelskich i wydalenii poza granice państw”. Przytaczając wyjątki z Talmudu i zasady moralności żydowskiej, dodaje: „Jest hańbą dla cywilizowanego człowieka znajdować się na jednym stopniu równouprawnienia obywatelskiego z ludem, wyznającym najobrzydliwszą moralność”.

Poza Rumunją i Niemcami jedynie Szwajcaria (Szwajcarska Unia Obrony Chrześcijańskiej) stawia w programie żądania ograniczenia praw politycznych Żydów. Żydzi winni być odsunięci od polityki, nie mogą być urzędnikami państwowymi ani należeć do sądownictwa.

Przedstawieniem środków i sposobów ekonomicznej walki prowadzonej z Żydami w Polsce wyróżnia się dodatkowo wśród innych, nierówny jest jednak bardzo w poszczególnych ustępach artykuł p. Stradyńskiego (Stradiński?) ze Lwowa, członka „Rozwoju”. Wadę artykułu stanowi to, że przedstawia rezultaty tej walki zbyt optymistycznie. Niepotrzebnie też zupełnie wspomina autor o pogromach Żydów w Polsce w XIV-go wieku. Pogromy te były, jak wiadomo, zaledwie słabym odbłaskiem prześladowań Żydów na Zachodzie, o których żaden z autorów książki nie wspomina, nieoczekiwana zaś wzmianka tego rodzaju wobec tego, co głosili w prasie amerykańskiej o początkowym okresie naszej niepodległości Żydzi, może wyrzucić na czytelnikach zagranicznych wrażenie, że Polska w samej rzeczy jest krajem pogromów.

Jeśli chodzi o charakterystykę prądów antyżydowskich w pozostałych 15-u państwach, można je scharakteryzować naogół w ten sposób: duże i coraz większe zrozumienie żydowskiego niebezpieczeństwa i brak programu w tej kwestji. Artykuły obracają się też niekiedy w dziedzinie ogólników, jednocześnie wszędzie znaleźć w nich można wiele interesujących szczegółów, dotyczących kwestji żydowskiej w różnych krajach. Autorzy artykułów podkreślają też często i silnie współdziałanie Żydostwa i masonerii.

„Wspólny front” jest jednym z objawów wrastającego wciąż wśród działaczy antyżydowskich różnych krajów przeświadczenia o potrzebie porozumiewania się i współdziałania we wspólnie prowadzonej walce. Książka wydana jest pod hasłem rozbrzmiewającym dziś często w obozach antyżydowskich: „Arycyzy wszystkich krajów, łączcie się”.

M. W.

UKRAINA A ROSJA

POLITYKA „ukraińska” samych „ukraińców”, zarówno we Wschodniej Małopolsce jak i na Ukrainie naddnieprzańskej, podobnie zresztą jak polityka naszych niestrudzonych federalistów opiera się na podstawowym dla nich rzekomo fakcie, że przyszła Rosja, jakkolwiek ustrój przybierze, stanie się terenem jeszcze większego rozprężenia pod względem narodowościowym, a to w rezultacie doprowadzi do utworzenia niepodległej Ukrainy.

Rzecz polega na poważnym nieporozumieniu. Rząd sowiecki wykazał chyba dostatecznie swoje stanowisko wobec ambicji ukraińskich, skoro mimo swych zasad komunistycznych silną ręką trzyma Ukrainę pod

władzą Moskwy, bynajmniej nie rezygnując z ziem Ukrainy.

Jaka zaś jest w tej sprawie polityka emigracji rosyjskiej? Czy autonomje, nadane przez Sowiety poszczególnym narodom i szczepom, skłoniły ją do rewizji dawnych zasad centralizmu carskiego? Na tę to rewizję liczą małopolscy „ukraińcy”.

Jasno i niedwuznacznie wypowiedział się w tym przedmiocie jeden z najpoważniejszych organów emigracji rosyjskiej w Paryżu p.t. „*Rossija i Sławjanstwo*” (z 19 stycznia b. r. nr. 8). Organ ten wychodzi przy wybitnej współpracy i niejako pod auspicjami prof. Piotra Struwego. Pozatem do organu „*Rossija i Sławjanstwo*” pisuje znany publicysta rosyjski W. Szulgin, jeden z szermierzy konserwatyzmu.

„Ukraiński problemat — czytamy tam, — trudny, złożony i niezdrowy problemat. Jest to, być może, najgroźniejszy problemat przyszłej Rosji... Jeśli w naszej rzeczywistości jednym z największych zagadnień zewnętrznej polityki jest kwestja Polski, to równie ważnym zagadnieniem w wewnętrznej polityki staje się kwestja Ukrainy. W tem przeciwstawieniu problemu polskiego jako zewnątrz-politycznego, ukraińskiego zaś jako wewnątrz-politycznego, zawiera się cała istota zagadnienia. Można z pełnem prawem bowiem powiedzieć, że problem polski jako kwestja wewnętrzna zupełnie już nie istnieje dla przyszłej Rosji. Ale też również nie wyobrażamy sobie problemu ukraińskiego, jako problemu zewnętrznego! Innymi słowy, tak jak nie wyobrażamy sobie włączenia Polski w granice Rosji, tak nie przedstawiamy sobie wyłączenia z Rosji — Ukrainy”.

Artykuł przytacza opinię czeskiego działacza politycznego Ant. Haina w tej sprawie:

„Mówić — czytamy — o odłączeniu Ukrainy od Rosji można z takim samym rezultatem, jak mówić o rozdzieleniu jednej połowy od drugiej”.

W dalszym ciągu autor artykułu przyznaje Ukrainie prawo rozwoju kulturalnego, ale zawsze w granicach Rosji i stwierdza, że tylko część ludności małorosyjskiej myśli o oderwaniu się od matczyry.

Wyraźne wypowiedzenie się organu rosyjskiego jest dla naszych federalistów ostrzeżeniem, że budowanie nadziei na programie kawałkowania Rosji na rzecz Ukrainy nie spotka się z życzliwym przyjęciem Rosji narodowej (czy ją będzie reprezentował Szulgin czy ktokolwiek inny), tak jak nie zyskuje ono uznania w polityce sowieckiej. Dla małopolskich zaś ukraińców głos z Paryża powinien być chyba dowodem, że sprawa niepodległej Ukrainy nietylko nie wyjaśni się dla nich wskutek ewentualnego upadku sowieców, ale przeciwnie tembardziej się skomplikuje.

Lwów

KLAUDJUSZ HRABYK

Z POLITYKI ZAGRANICZNEJ

MNIEJSZOŚCI NARODOWE

DZIENNIKI doniosły, że p. Stresemann zgłosił już wniosek, by na porządek dzienny marcowego zebrania Rady Ligi Narodów wprowadzono sprawę mniejszości narodowych. O ile więc nie będzie zastosowaną właściwa Lidze metoda przeciągania i odkładania — co w danym wypadku jest bardzo możliwe: to „gwoździem” zebrania marcowego stanie się wystąpienie p. Stresemanna.

Cel Niemiec jest oczywisty, chodzi im o użycie sprawy „mniejszości” za narzędzie do wywrócenia postanowień terytorjalnych traktatu Wersalskiego, mają one oczywiście na oku przedewszystkiem Polskę i Czechosłowację. Z jednej strony pomagają separatystycznym dążeniom mniejszości, z drugiej chcą przez Ligę uzyskać podstawy do wtrącania się w wewnętrzne sprawy państw sąsiednich. Przyświeca im w tem doświadczenie

dziewięć zrobione ze sprawą dyssydentów w Polsce w wieku XVIII.

Już dzienniki doniosły, że p. Stresemann zamierza mówić tylko o mniejszościach w tych państwach, które podpisały odpowiednie traktaty „mniejszościowe” i że będzie mu chodziło o poddanie rewizji procedury traktowania spraw mniejszościowych. Bliższe informacje o zapowiadanej „wielkiej mowie” p. Stresemanna przynosi „*Neue Freie Presse*” (6 lutego). Wśród tych informacji uderza szczególnie to, co dotyczy „zasadniczego” stanowiska Niemiec w omawianej sprawie. P. Stresemann ma uzasadniać stanowisko rządu niemieckiego i między innymi powiedzieć, że „celem ochrony mniejszości jest utrzymanie tych mniejszości i że państwa, w których zamieszkują znaczniejsze ilości tych mniejszości, muszą stopniowo wypracować dla siebie nowy ustrój państwowy, zbliżony do ustroju szwajcarskiego. Jako wzór państwa z silnymi mniejszościami narodowymi należy uważać raczej Czechosłowację niż Polskę, o której się zwykle najczęściej w tym wypadku mówi”.

Czy nie piękny plan? Pod kontrolą Ligi Narodów będą państwa takie, jak Polska i Czechosłowacja, pozbawione jednolitości i zamienione na państwa o ustroju federalistycznym na obraz i podobieństwo Austro-Węgier. Naturalnym zaś następstwem tej zmiany ustrojowej byłoby rozpadnięcie się tych państw na rzecz Niemiec, Rosji i Węgier. W ten sposób nastąpiłaby istotnie gruntowna likwidacja następstw zwycięskiej wojny. Nietylkoby nic nie zostało z traktatu Wersalskiego, lecz urzeczywistniłaby się idea „*Mittleurop*” pod protektorem Niemiec.

Plan, jak widzimy, dobrze obmyślony i „kolosalny”. Z wyników, do jakich ma doprowadzić inicjatywa, z którą Niemcy zamierzają wystąpić na marcowym zebraniu Rady Ligi, powinni sobie zdać sprawę kierownicy polityki polskiej i wysnuć z tego wnioski, że w sprawie mniejszości nie można iść na żadne kompromisy, że niema zbyt drastycznych sposobów, którychby nie należało użyć, by pokrzyżować zamiary Niemiec. Przy właściwym postawieniu sprawy można sobie zyskać sprzymierzeńców, boć jest rzeczą oczywistą, że sprawa mniejszości jest rodzajem beczki prochu podłożonej pod dzisiejszy układ terytorjalny w Europie. Wybuch tego prochu zburzyłby zaś równocześnie pokój światowy. Sprawa mniejszości może się stać łatwo czynnikiem wojny w Europie, a Liga Narodów miejscem, gdzie bardzo łatwo paść może iskra wszczynająca pożar.

S. K.

WYCHOWANIE NARODOWE

O RUSKICH SZKOŁACH POWSZECHNYCH W MAŁOPOLSCE WSCHODNIEJ

(tak zwanych prywatnych)

WOJUJĄCA część społeczeństwa, nazywająca siebie ukraińcami w Małopolsce Wschodniej, nie uznaje państwowych publicznych szkół powszechnych i utrzymuje sobie gdzieś „własne” szkoły prywatne, spędzając do takich szkół działkę ruską nawet z odległych wsi. Największy ruch w tym kierunku dał się zauważyć pomiędzy latami 1918 i 1923/4. W tym czasie na terenie Małopolski Wschodniej powstał cały szereg szkół prywatnych z ruskim językiem nauczania w tym tylko celu, aby odciągnąć młodzież od uczęszczania do szkół powszechnych państwowych.

Dlaczego to uczyniono?

Stwierdzić należy, że po walkach „ukraińskich” jeżeli były tu i ówdzie jakieś nieporozumienia czy zatargi

pomiędzy młodzieżą polską, wracającą dopiero z okopów wojennych, a młodzieżą ruską, to tylko w szkołach najwyższych, a nigdy na terenie szkół powszechnych. Szkoła powszechna była i jest instytucją apolityczną już chociażby dlatego, że wychowankowie tych szkół politycznymi kwestiami zupełnie się nie interesują, ani nie mają do tego okazji.

Z powyższych przyczyn młodzież ruska nie mogła być narażona w szkole powszechnej na to, że zostanie przez kolegów nieżyczliwie przyjęta.

Mimo to jednak akcję odciągającą dzieci ruskie od szkół państwowych systematycznie uprawiano — a podkładem jest — specjalny ukraińców cel główny — separatyzm i nienawiść do wszystkiego co technicznie zgodnym współzyciem i braterską miłością obywateli państwa polskiego.

Dzisiaj, po kilku latach istnienia prywatnych szkół ruskich cel ten staje się zupełnie jasny.

Przedewszystkiem młodzież w państwowej szkole powszechnej uczy się historii i geografii Polski, słyszy o państwie polskim, o jego ustroju politycznym, granicach, zaludnieniu, kulturze polskiej i t. p., a tego dzieciom ruskim wojujący ukraińcy nie chce podawać do wiadomości, owszem, według ukraińców, takie pojęcia i wiadomości powinny być dzieciom ruskim podawane całkiem inaczej. Taki był cel ukryty tych, którzy rzucili się do organizowania prywatnego szkolnictwa ruskiego.

W Małopolsce Wschodniej organizację prywatnych szkół prowadziło ruskie Towarzystwo Pedagogiczne przekształcone w „Ridną Szkołę”. Towarzystwo to zakładało szkoły prywatne we Lwowie i najbliższej okolicy, a także w kilku miastach powiatowych od Lwowa na wschód.

Zakładane szkoły zazwyczaj nie posiadały na miejscu odpowiedniej frekwencji, którą z czasem sztukować musiano dziećmi dojeżdżającymi. I dzisiaj frekwencja ta w niektórych szkołach jest bardzo mała, bowiem na nauczyciela wypada kilkanaścioro zaledwie dzieci. Z tego okazuje się, że konieczność zakładania takich szkół, czem organizatorzy tłumaczyli potrzebę akcji, nie była uzasadniona żadnymi względami rzeczowymi, a więc musiał istnieć cel zupełnie inny.

Prywatne szkoły ruskie uzyskiwały koncesje bardzo łatwo. Szczególniej w roku 1926 i 1927 władze nie przywiązywały większej wagi do warunków, jakie są określone przepisami o nadaniu prawa publiczności dla szkół prywatnych. Koncesjonariusze otrzymując koncesje przyjmowali warunki, podane im przez władze szkolne, t. j. przez Kuratora, a mianowicie:

- 1) zapewnienie odpowiedniego lokalu.
- 2) prowadzenie nauk według programu Min. W. R. i O. P.
- 3) używanie podręczników i pomocy zatwierdzonych przez władzę szkolną.
- 4) wykonywanie rozporządzeń władz szkolnych.

Czy tym warunkom koncesjonariusz poddał się, zobaczmy.

Jeżeli chodzi o lokale, to te zazwyczaj nie gorsze są od lokalów wielu szkół państwowych. Również używanie podręczników do nauk nie wiele pozostawia do życzenia. Gorzej przedstawia się już sprawa używania pomocy naukowych.

W każdej szkole do historii Ukrainy używa się obrazów nie aprobowanych przez Min. W. R. i O. P. Do nauki geografii używają te szkoły mapy „Ukrainy”, wydanej w Wiedniu 1918 r., a przedstawiającej teren od Wisły na wschód aż po Ural i morze Kaspjskie, która nie tylko, że w spisie podręczników szkolnych, wydanych przez Min. W. R. i O. P. nie figuruje, ale zupełnie fałszywie jest ułożona pod względem naukowym.

Tu i ówdzie używane ryciny Chmieleńskiego, Gonty, Żeleźniaka i t. p. nie bardzo mogą dzieci wychowywać w duchu państwowym lub życzliwie usposablać do narodu polskiego. Jak wygląda wychowanie w duchu państwowym młodzieży tych szkół prywatnych, mogą za dowód posłużyć odpowiedzi uczniów na pytania, stawiane im ze strony nauczycieli, i tak:

„Jaka ludność zamieszkuje nasz kraj? „Nasz kraj zamieszkują Ukraińcy“. „Pokaż mi rzyk ukraiński? „Dnister, Boh, Dnipro, Kubań, Wołga“. Dowiedzieć się można na takich lekcjach np., „że niziny ukraińskie ciągną się od Wisły na wschód aż do Wołgi“, albo że „stolicą Ukrainy jest Lwów“ i t. p.

Czyż odpowiedzi te niedość świadczą o tem, w jakim duchu tam się pracuje, czy nie świadczą o tym duchu także zniewagi godła państwowego, które od pewnego czasu mają miejsce nawet w tej lub owej ruskiej szkole państwowej.

Jeżeli w zakładzie państwowym trudno jest skontrolować ducha, w jakim wychowuje się młodzież ruska, to cóż mówić o szkołach prywatnych, gdzie kontrola taka jest wręcz niemożliwa.

Programy naukowe jakkolwiek winny być zastosowane do programów ogólnych, wydanych przez Min. W. R. i O. P., faktycznie jednak są odmienne.

Program nauki historii toleruje zaledwie historję Polski na drugim miejscu, na pierwszym zaś ma przedewszystkiem historję Ukrainy.

Jeśli chodzi o to, czy szkoły te wykonywają rozporządzenia władz, niech świadczy następująca ilustracja. Mimo wyraźnego rozporządzenia ministra Dobruckiego z r. 1926, szkoły te nie mają dotychczas w izbach ani godła państwa, ani portretu Prezydenta Rzeczypospolitej. Mimo wyraźnego brzmienia ustawy językowej, kierownictwa szkół ruskich nie chcą z władzami szkolnymi korespondować w języku państwowym, bo jak oświadczył jeden z kierowników — „muszę słuchać mojej władzy“.

Stwierdzamy, że prywatne szkoły ruskie nie wykonywają przepisów lub omijają je, że nie poddają się warunkom i zastrzeżeniom, od których uzależnione jest ich prowadzenie, a jednak istnieją, kpiąc sobie najwidoczniej ze wszystkich zarządzeń, z władz szkolnych, z wszelkich nakazów, poleceń i t. p.

Nauczyciele tych szkół w swoich tabelach kwalifikacyjnych podają jako przynależność państwową „Wschodnią Haliaczyną“ i nikt na to dotychczas nie reaguje.

Tak władze szkolne jak i społeczeństwo okazują zadziwiającą cierpliwość tolerowania takich placówek, skąd zieje antagonizm, gdzie się wykuwa charakter jakiegoś wrogielogo obywatela, który anektuje sobie ziemię od Wisły do Wołgi i zaludnia całą tę przestrzeń Ukraińcami.

Czas ostatni, by ministerstwo W. R. i O. P. i sejm wejrzały w tę sprawę i przeszkodziły rozszerzaniu się fałszów naukowych i nienawiści narodowościowej.

Również zapytujemy mln. W. R. i O. P., na jakiej zasadzie istnieją publiczne szkoły państwowe ruskie np. we Lwowie, w Przemyślu, Jarosławiu i t. d., skoro w miejscowościach tych nie ma 25 procent ludności narodowości ruskiej, jak mówi ustawa z r. 1924.

Do tej sprawy wrócimy jeszcze, bo uważamy ją za zasadniczą i niezgodną z ustawą. Jeżeli stwierdzamy nieojalność pewnych kół ruskich wobec państwa polskiego, to nie powinniśmy im dawać żadnych przywilejów, a tembardziej wychodzić poza ustawę.

LWOWIANIN

NAUKA I LITERATURA

BARDZO CIEKAWA KSIAŻKA

POŁĄCZYĆ ścisłą i świeżą wiedzę z przystępnym, jasnym i obrazowym wykładem — jest to wielki talent autora i wielka korzyść dla czytelnika. Posiadają tę zdolność w wysokim stopniu Anglicy i Francuzi, nie posiadają jej Niemcy, objawiają niekiedy Polacy. Jeśli uznamy, że wartość książki naukowej zależy od długości promienia koła, w którym ona rozszerza swoje światło i jeżeli zmierzmy różnicę obrębu wpływów tej, która przemawia językiem powszechnie zrozumiałym i tej, która wyklada swoją wiedzę stylem suchym, zawiłym i tylko dla wtajemniczonych pojętnym, okaże nam się ogromna wyższość pierwszej. Stoić dlatego jest światłem potężnym, życiotwórczym, błogosławionem, czczonem, że nie udziela swego blasku jedynie istotom wybranym, lecz rozlewa go po wszystkich. Niesprawiedliwie przeceniono mądrość zamkniętą w gabinetach ezoterycznych a nie doceniono rozpostartej szeroko falami egzoteryzmu. Nauka nie powinna być szeregiem stołów biesiadnych dla arystokracji umysłowej, lecz pokarmem dla mas, bo ze wszystkich postaci życia ludzkiego w swojej naturze i przeznaczeniu jest najbardziej demokratyczną.

Taką jest w pięknej książce p. Michała Siedleckiego p. t. „Skarby wód“. Biolog, w tym wypadku badacz morza, uczestniczył w rozmaitych połowach na wielkich obszarach wód, i to, co opisał, oglądał bezpośrednio, a opisał tak, że jego opowieści może z najwyższym zajęciem czytać każdy od dziesiątego do setnego roku życia. Więć mówi o tworzeniu się, wyławianiu i hodowli pereł, „łez oceanu“, o ogrodach podmorskich, mchu morskim, stanowiącym przedmiot handlu, o koralach, delfinach, łososiach, „wielkich wędrowcach“, sielawach, wreszcie o morzu polskiem. Ten rozdział jest szczególnie ciekawy i ważny ze względu na skarby wód naszych, które są nienajbogatsze, ale jednak wielkie, niedostatecznie jeszcze wyzyskane. Sprawiają to niedość dotąd rozwinięte środki i organizacje przemysłowe, a nadto trudne warunki naturalne. „Mało słone wody Bałtyku ścina mróz, powierzchnia zatoki marznie na przestrzeni od Pucka do Kuźnicy lub nawet i dalej. Cała powierzchnia morza Małego pokrywa się krą, a jeśli zawieje silny wiatr zachodni, to kry i połamane pola lodowe suną pasami po błękitno-zielonej toni, same białe i niebieskawe. Trze się kra o krę i wszystkie wyglądają jak okrągławe tarcze współprzejrzyste. Przy ruchu fal czasem taka tarcza obróci się wolno jak żółw w wodzie i z pluskiem rozdzieli spienione bałwany. Ale biada tej łodzi, która znalazłaby się w bliskości tego korowodu kry bałtyckiej“. Jeżeli w waszym domu są cztery pokolenia osób, od prawnucząt szkolnych do pradziadów i prababek, wszyscy mogą przeczytać tę książkę z ciekawością i pożytkiem.

A. Ś.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Pożyteczną książeczkę napisał prof. Maurycy Mann p. t. „Jak się uczyć języka i literatury włoskiej?“ (Warszawa 1928 r. Gebethner i Wolff, str. 67). Jest to poradnik dla studentów i samouków, podzielony na siedem rozdziałów. W pierwszym omawia autor podręczniki do praktycznej nauki języka, w drugim dzieła do studiów nad językiem, w trzecim podręczniki do historii literatury włoskiej dla nieposiadających języka, w czwartym tłumaczenia polskie pisarzy włoskich, w piątym dzieła włoskie do historii literatury, w szóstym wydania pisarzy włoskich w oryginale, w siódmym główne dzieła do nauki o Włoszech. Wszystko to zostało opatrzone krótkimi objaśnieniami. Rzecz cała ułożona i wykonana umiejętnie, nie brak tu jednak

niestety, opuszczeń, zwłaszcza w działach przekładów i opracowań polskich. Recenzent poradnika w „Ruchu Literackim”, (Grudzień 1928 r.) wytknął autorowi dużą ilość mimowolnych najpewniej opuszczeń. W dziale III np. jest ich co najmniej dwadzieścia; w dziale czwartym (przekłady polskie) także немало, również w rozdziale ostatnim.

Do wyszczególnionych możemy tu jeszcze sporo dodać. Pominął np. autor znakomite dzieło Kłaczki „Juliusz II, Rzym i Odrodzenie”, pominął przekład „Pamiętników” Benvenuta Cellini’ego i przekład „Żywota Michała-Anioła” Condivi’ego, oraz monografię Wł. Kozickiego o twórcy Sykstyń. Pominął również książkę o Dantem francuskiego badacza Hauvette’a którego parę razy przytacza z innego powodu. Także znane powszechnie dzieło Thode’go o Św. Franciszku z Assyżu i wpływie ruchu franciszkańskiego na twórczość średniowiecza i t. p. To wszystko należałoby uwzględnić w następnym wydaniu poradnika.

„Elegje i Sonety” Ludwika Labé, francuskiej poetki z XVI-tego wieku, wydane zostały przez księgarnię F. Hoiesicka, w przekładzie Włodzimierza K op a c z y Ń s k i e g o. Utwory poetki poprzedza przedmowa tłumacza, w której życie i twórczość autorki ukazane zostały na tle ówczesnej francuskiej umysłowości, zależnej od przemownego wpływu wzorów literatury rzymskiej i greckiej. Ten wpływ zaznacza się w formie i pomysłach wierszy, jednak oryginalny, liryczny talent „poetki miłości” stawia jej utwory obok utworów Villona, autora „Wielkiego Testamentu”. Są też te elegje i sonety odbłaskiem bujnej ówczesnej kultury, artystycznej i naukowej.

Forma poezji nieskażona, dźwięczna, zaś ich treść wewnętrzna, wśród ornamentów mitologicznych, rozsnuwa się wyłącznie w sferze spraw dziewczęcego serca. „Elegje i Sonety” Ludwika Labé są interesującym i wzniosłym pomnikiem minionego, renesansowego piękna. Dobrze, że w sposób godny ich wartości zostały naszej literaturze przyswojone i wydane.

Z literatur klasycznych tłumaczy się u nas przeważnie wciąż tych samych autorów t. zw. szkolnych — to też panuje ogólne przekonanie, jakobyśmy już mieli w przekładach całą skarbnicę poezji i prozy starożytnej. Przekonanie to jednak zgół ma mylnie. Po dziś dzień nie posiadamy np. porządnego przekładu „Żalów” Owidjuszonych lub elegij takich mistrzów, jak Tybullus lub Propertius. Nieznane są w Polsce — na co skarżył się Sienkiewicz — dzieła Apoloniusza z Tyany, Polybjsza i wielu innych. Pindar ledwo w wyjątkach jest tłumaczony. Bardzo, bardzo dużo jeszcze jest do zrobienia na niwie przekładowej. Chętnie więc powitałbyśmy przekład p o e z y j K a t u l l a, dokonany przez Z. Reiss’a, znacznie lepszy od przekładu Czubkowskiego. Prawdziwą jednak zasługę ma dr. Stanisław Seliga, docent wolnej wszechnicy, przełożywszy wiernie, a piękną polszczyzną, satyrę Persjusza. Zalety przekładu oceni jeszcze lepiej ten, kto zna Persjusza w oryginale i musiał łamać się z jego stylową zwężnością, przechodzącą niekiedy nawet w niejasność (*obscuritas*). Z tej niejasności umiał tłumacz wybrnąć szczęśliwie, a co już z natury rzeczy domagało się wyjaśnienia, wyjaśnił w wybornych, choć zwięzłych komentarzach. Celem zapewnienia sobie większej swobody ruchów, tłumacz — za wzorem tłumaczyw francuskich — posługiwał się mową niewiązaną. Ponieważ w satyrach Persjusza poezji właściwie jest niewiele, więc przekład na tej formie nic nie straci.

W przekładzie E. Szenwiczowej ukazała się książka niedawno zmarłego słynnego powieściopisarza hiszpańskiego, Vicente Blasco Ibaneza p. t. „W krainie słońca” (Biblioteka groszowa 1928 r.). Jest to zbiór wrażeń z pierwszej podróży autora do Włoch, gdy ścigany przez władze hiszpańskie za udział w manifestacjach antywojennych w r. 1895 z powodu zatargu z Kubą, zdołał umknąć jako prosty majtek. Szkice te dyszą nie tylko bezpośredniością wrażeń, tkwi w nich dużo refleksyj, śmiałość pytań rzucanych wiekom, a raz po raz dźwięczy narodowa дума hiszpańska-socjalista, pod tym względem zgół niepodobnego do znanych nam „towarzyszów”. A potem jakże głębokie, bezinteresowne, nie dzisiejsze umiłowanie piękna i pokłon jego świątyniom. Przekład dobry, wydanie bardzo staranne.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

P. Maurycy Bedel otrzymał znowuż zeszłego roku nagrodę Goncourt’ow za „Jerôme, 40 Latitude Nord”. Była ona pierwszą jego powieścią, a wywołała, jak wiadomo, liczne i żywe bardzo dyskusje na temat odmalowanych przez autora stosunków, względnie obyczajów norweskich. P. Bedel publikuje obecnie „Molnoff, Indre-et-Loire” (Nouvelle Revue Francaise). Jeżeli akcja jej toczy się we Francji, to jednakże jednym z głów-

nych bohaterów jest Rosjanin, a mianowicie zrujnowany hrabia Molnoff. Ten w braku innej wiedzy, mogącej pozwolić zarobić mu na życie, przyjmuje miejsce kucharza w jednym z zamków francuskich, którego właścicielem jest znowuż bogaty Bolwiczek. Ponieważ ten ostatni stale podróżuje, a jego żona z pokojem nie wychodzi, w pałacu panuje wszechwładnie kucharz. Ale nie tylko w pałacu. W krótkim bowiem czasie nawiązuje stosunki z okolicznymi właścicielami, organizuje polowania, przyjęcia. Kochają się w nim wszystkie panny departamentu Indre-et-Loire. Aż wreszcie pewnego dnia, prawdziwy kucharz zostaje wykryty i zmuszony jest opuścić gościnny pałac, a szukać nowych awantur. Fabuła mało prawdopodobna. Książka ta jednak zawiera cały szereg barwnych epizodów poza hrabią-kucharzem oraz ładne opisy tej uroczej prowincji francuskiej z której zresztą sam autor pochodzi.

Le Forestier w książce p. t. „L’occultisme et la Franc-Masonnerie écossaise” (Libr. acad. Parrin, 35 quai des Grands Augustins, Paryż, cena 15 fr.) występuje w obronie masonerii, w celu przeprowadzenia tezy, że masoneria szkocka nie może być odpowiedzialna za tendencje okultystyczne, których stała się wyrazem. Przedmiotem rozważań autora są: magia starożytna i żydowska, odrodzenie okultyzmu za Renesansu, rozwój okultyzmu od czasów Russa do czasów Wielkiej Rewolucji Francuskiej, masoneria współczesna (od 1717 r.), masoneria „niebieska”, przełomy w masonerii w XVIII-ym wieku, stopnie masonskie, tajemnice masonskie, mistycyzm i okultyzm, reakcja przeciw racjonalizmowi, tendencje okultystyczne różnych grup masonerii. Autor ujmuje rzecz źródłowo i metodycznie. Książka dla studujących kwestię masonerii b. cenna.

Najnowsza nagroda państwowa literacka w Hiszpanii w wysokości 6.000 pesetów (około 9.000 złotych) przypadła w udziale młodemu dziennikarzowi madryckiemu Jos é M o n t e r o A l o n z o, za Antologię poetów i prozaików hiszpańskich, która została zaakceptowana przez władze oświatowe, jako najlepszy ze znanych dotychczas podręczników przy nauce literatury w szkołach hiszpańskich. Nagroda ta dowodzi z jednej strony troskliwości państwa o zainteresowanie szerszych sfer literackich sprawami dotyczącymi młodzieży i dostarczania jej odpowiedniego pokarmu duchowego, z drugiej zaś o pogłębienie znajomości literatury ojczystej. Podobna antologia o bardzo umiejętnym doborze przydałaby się bardzo również i naszej młodzieży, a niezawodnie i starszym, tym zwłaszcza, którzy nie potrafili jeszcze ocenić należycie dorobku literackiego naszych znakomitych pisarzy. Nagrodzony dziennikarz hiszpański znany jest pozatem jako nowelista i powieściopisarz.

Na półkach księgarskich w Hiszpanii ukazała się piękna co do szaty zewnętrznej, wartościowa zaś co do treści książka p. t. „La novela de Espana” (Powieść hiszpańska), napisana przez Gómez Moreno. Jest to głębokie studium historyczno-literackie, które jednak daje się czytać jak wspaniała powieść, piękny bowiem i jasny styl cechuje tego wybitnego pisarza.

Edgardo Garrido Merino, młody literat chilijski staje się coraz bardziej popularny. Ostatni tom nowel zebranych w jeden tom: „El barco inmóvil” (Nieruchoma barka) cieszy się wielkim uznaniem krytyków.

ZE ŚWIATA MUZYCZNEGO

Nagroda ministerjum oświecenia za najlepszy utwór muzyczny, wykonany w ostatnim trzyleciu, przypadła Karolowi S z y m a n o w s k i e m u. Za najlepszy utwór uznano jego koncert skrzypcowy. Komisję konkursową tworzyli: R. Chojnacki, prof. Z. Jachimecki, St. Kazuro, P. Maszyński, S. Niewiadomski, P. Rytel. Nagroda wynosi 10.000 zł.

W dn. 8 lutego upłynęło 20 lat od tragicznej śmierci kompozytora M i e c z y s ł a w a K a r ł o w i c z a, który zginął w Tatrach pod lawiną śnieżną. W dniu tym w Warszawie w kościele św. Antoniego odprawiono mszę żałobną za jego duszę — z inicjatywy Tow. Muzycznego. „Kurj. Warszawski” z dn. 10 lutego ogłosił feljeton Z. Wasilewskiego, poświęcony pamięci muzyka. Między ilustracjami w tym numerze jest kamień pamiątkowy, gdzie zginął Karłowicz. O tym kamieniu Wasilewski pisze, że jego legendą będzie: „uległ przyrodzie nie taternik, lecz muzyk, który przewycięzał tajemnicę milczenia i ludziom nieznane światy harmonji wleścił”.

Uczeń prof. Z. Jachimeckiego dr. Marceł L i e b e s k i n d złożył Akademii Umiejętności monografię o twórczości M. Karłowicza. Niebawem rozpocznie się druk tej książki.

OFENSYWA

PROTESTOWICZE

ISTNIAŁ sobie w starej przedwojennej Warszawie miły, ciepły obyczaj tak zwanego gremialnego „protestowania”. Polegał na tem, że kiedy któryś z krytyków czy recenzentów zbyt sponiewierał któregoś z twórców, inni skatowanemu szli w sukurs i wydawali wspólny protest przeciw „beprzykładowemu upadkowi poziomu naszej... etc. Ofiara miała z tego pewną satysfakcję moralną a protestowicze wracali do domu zadowoleni z altruistycznego uczynku. Ponieważ *panta rei* (wszystko sobie płynie), przeto często zdarzało się, że z kolei w następnych latach „ofiara” sponiewierała znowu któregoś z protestantów lub jeden protestowicz drugiego i znow się zbierało podpisy i szła kollektka. Niektórzy jak śp. Żeromski, Reymont byli bardzo trudni do używania, niektórzy znowu bardzo łatwi. Zgoła namiętnie podpisywali się: Rolicz-Lieder, Ant. Lange, Aureljusz Drogoszewski, Ant. Müller, Ryglar Leon i debiutująca wtedy i utalentowana wtedy Zofia Nałkowska. Obyczaj ten przetrwał wojnę i obecnie też od czasu do czasu bywa zastoszowany.

Demonstrować można swoisty i swojski styl tych protestów na ostatnim, świeżym z powodu Studzieńca. W zasadzie słuszny, ale że o dwa lata spóźniony *post facta*, więc komedjanccki i zbyt cyniczny i przypadkowy. Dowodem żadnym odwagi cywilnej ani patosu etycznego nie jest, gdyż nie sztuka i nie bohaterstwo to żadne protestować w kupie dopiero wtedy, kiedy sądy już wkroczyły i opinia publiczna dawno została przez prasę zaalarmowana. Oburzać się i dawać wyraz oburzeniu dopiero wtedy, kiedy i tak już całe społeczeństwo jest wstrząśnięte, to tylko wygodna, nie ryzykowna, arcyburżujska taka sobie demonstracja, łatwy akces do solidarności i mocno kabotyńskie przypominanie swej ważności p. t. publiczności.

No a następnie lista tych protestowiczów, co ona oznacza? Jak powstaje taka lista? Otóż taki proceder należy przeświecić. Bywa bowiem, że taki lub inny sprytny, wrzaskliwy typek, narobiwszy nieco paskudztw, w następstwie skarczony, chcąc się zrehabilitować wpada na pomysł, aby korzystając z oburzenia opinii na bandę „nieznanych sprawców” ze Studzieńca, spreprować na gwalt protest i w liście domowych wielkości wślubić i swoje zdyskredytowane na razie nazwisko. Załatwia to telefonem i kollektka gotowa. Co jednakże znaczy naprawdę i kogo reprezentuje tak skompletowana grupa?

Jeżeli to ma być literacka reprezentacja radykalnej lewicy: to co tam robia wskroś burżuazyni, konserwatywni pisarze: Berent, Staff, Chojnowski, którzy nigdy nie mieli w sobie nic z „Ducha Rewolucjonisty” i świetną zresztą twórczością swoją nigdy przeciw niczemu nie protestowali? Dlaczego o podpis nie poproszono Limanowskiego? Dlaczego nie podpisał się Boy — mędrzec? Jeżeli to jest zaś elita literatury, to co tam porabia kilku panów debiutujących od lat dziesięciu, ale jeszcze niczem trwałem się nie pleczętujących? Co właściwie ma do Studzieńca bawidamski pan Lechoń? Co znaczy p. W. Horzyca? Skąd się tu wziął p. Iwaszkiewicz? Jeżeli to jest elita literatury, to z jakiej racji przemijające bubki, wszedobylskie *causeur*y nieproduktywne dyktantów, które literalnie nic jeszcze istotnego nie dały literaturze, a tylko odcinają kupony swej efronterji, zabierają miejsce pisarzy serjo? Gdzie są Świętochowski, Goetel, gdzie panie Szczucka i Iłakowiczówna? Jak długo trwać będzie terror tej zczelnie narzucającej się zakulisowej klki, która bojkotuje np. Rodziewiczównę a wypycha forsownie na wielkość literacką swą zabawną „*precieuse radicale*” p. Ryglar Nałkowską?

Czy elity literatury nie reprezentuje przypadkiem Rostkowski, Zegadłowicz, Szanławski w pierwszym rzędzie, zanim przyjdzie kolej na jazzbandzistów i terrorystów reklamy?

A gdzie to się podział Wasylewski? A. Bartkiewicz, Ligocki, Bunikiewicz zmarli? A komedjopisarzy polskich niema? Czy Perzyński należy do literatury jeszcze, czyście go wygryzli? Może i on byłby się podpisał? A czy Miłaszewski właśnie jako czystej rasy poeta nie ważyłby tyle, ile pięciu Lechońów i pięćdziesięciu Iwaszkiewiczów, w razie gdyby miał ostry ożór, protekę kliki, był askurowany na Nalewkach i korzystał z dyspozycyjnego funduszu M. S. Z.? No, a jeżeli ta grupa protestowiczów ma być tylko reprezentacją literatury stolicy, to z jakiej racji nie podpisał się Ossendowski? Czy on nie oburza się na kryminalistów ze Studzieńca, czy też obiecujący dopiero p. Horzyca jest już w stolicy większym autorytetem? Jeżeli jest Tuwim, czemu niema Wittlina? A jeżeli p. Iwaszkiewicz czemu niema p. Beylina? p. Napierskiego, pani Waty, pana Sterna i t. p.? Czy Artur Górski nic niema do powiedzenia w sprawie Studzieńca? A *propos...* a gdzie to się podział Mirjam Przesmycki?

A gdzież to krytycy: Lorentowicz, Siedlecki, Jabłonowski, Dębicki... Zamarzli?

Listę nieobecnych, nie wezwanych i niepodpisanych mnożyć można dość długo.

Czegóż to dowodzi?

Oto tego, że takie protesty społecznie i kulturalnie bardzo ważne, powstają u nas zupełnie przypadkowo a motywów zgoła z humanitaryzmem nic nie mających wspólnego, a tylko dla celów reklamowych, merkantylnych, aranżowane przez filutów i spryciarzy, doczepiających swoje *nomina ignota* do znanych lub wychodzących z mody i z obiegu starych firm literackich (Sieroszewski, Strug, Berent), które znow odwrótnie korzystają z przyczepiania ich do nazwisk młodych kolegów jako „wiecznie aktualni” i dożywnio nieśmiertelni. W ten sposób też poprostu oszukuje się prowincję i resztę Polski, sugerując jej kłamliwie i podstępnie, że podpisane na proteście *mixtum compositum*, to jakaś *quinta essentia* inteligencji stołecznej.

Licha spekulacja takich protestów, spreparowanych wyłącznie dla załpmonowania publice i profitowania z rozgłosu, demaskuje się jeszcze tem drastyczniej, że panowie podpisani na proteście kolektywnie nie zabierali ani razu głosu, gdy w Polsce „nieznani sprawcy” kolejno napadali na cały szereg kolegów po piórze w różnych miastach (nie tylko w Warszawie!) ale w Wilnie, Krakowie, Katowicach, Lwowie, Poznaniu. Przeciw „zniknięciu” generała Zagórskiego napisał broszurę tylko prof. M. Zdzichowski, a p.p. Sieroszewski, Strug, Bandrowski i ich cohnsorties wtedy udawali, że ich niema. Wtedy ich obywatelskie sumienie drzemało, patos etyczny skrył się, a ich humanitaryzm nie bąknął ani słowa. Odwaga cywilna znalazła się dopiero wtedy, kiedy zdarzyła się okazja popisania się i podpisania się z popularnym sentymentem dla dzieci katowanych, dla których chyba ostatnie bydlę ludzkie niema w tym wypadków całego pełnego współczucia.

Z protestami Woltera, Multatulego, Ibaneza, Rollanda, L. Daudeta, Manna (w sprawie Jakubowskiego) to nic a nic niema wspólnego. Ot zwyczajne warszawskie „qui pro quo” „szmonces”... „bujanie”... gości, którzy nie przychodzą...

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Jeszcze za słabo według opinii żydów z „Epoki” występuje prasa radykalna przeciw polskiej prasie narodowej. P. Josel Wasserzug, *secundo voto* Józef Wasowski, pisujący w „Epoce” refleksje, zamiescił w niej niedawno pobudkę bojową p. t. „Trzeba mocniej”, w której sobie i swoim współwyznawcom dodaje animuszu polemicznego. Ciekawa rzecz, jak to „mocniej” ma w praktyce wyglądać wobec tego, że prasa radykalna wyczerpała już najmocniejsze słowa z zapasu wozowni dorożkarskich, gararów samochodowych, straganowych przekupek i szynków podmiejskich...?

Mamy wrażenie, że mężna pobudka p. Wasserzuga jest rodzajem ognistej samopodnieity dla męża „Epoki” dotkniętego impotencją stylu i myśli. Podobno p. Wasserzug złożył w ministerstwie spraw wewnętrznych podanie o jeszcze jedną zmianę swego nazwiska — z Wasserzuga na Feuerzug. Może to pomoże?

Tu jednak nasuwają się duże wątpliwości. Rozumiemy, że nazwisko „Wasowski” zanadto jest pokojowe, a nawet — przedpokojowe. Ale dlaczego Wasowski odrzuca nie kupi sobie nazwiska: „Ogniociąg — Ogieński herbu Płomieńczyk”? W czerwonym polu należy umieścić miecz ostry, pałasz, szablę, kordelas, rusznicę, pistolet, rewolwer, karabin i kulomiot, otoczyć je ładnie taśmą z nabojami, na tarczy zamiast hełmu z pióropuszem posadzić dymiącą armatę. Niech się Wasowski nie boi: to nie wystrzeli, a na animusz może pomoże. Dlaczego tylko „Feuerzug”? Trzeba mocniej!

*

Wasowski powołuje się na względy wobec „wskreszonej ojczyzny”, co jemu i jego współwyznawcom nie pozwalało dotychczas zbyt ostro walczyć z polską prasą narodową: bo przecie walce tej przygląda się zagranica. Ale przy słowach „wskreszona ojczyzna” Wasowski połyka ślinę! I tu okazuje słabość. Wiadomo, że w Rosji, gdy tłum chce się przekonać, czy osobnik wątpliwy jest Żydem, każe mu tylko wymówić trudne dla żydowskiego gardła słowa: „*Grigorij Grigorjewicz*”. W Polsce można z tym samym skutkiem stosować słowa „wskreszona ojczyzna”. Wasowski połyka przy nich ślinę. Dlaczego połykać, kiedy można splunąć? Trzeba mocniej!

ZAKŁADY OGRODNICZE

C. ULRICH

założ. 1805 r. w Warszawie, S. A.
Centrala — Ceglana 11, tel. 9-25.

NASIONA

WARZYWNE, KWIATOWE, PASTEWNE, ROLNE.
NARZĘDZIA i PRZYRZĄDY OGRODNICZE

Własne wypróbowane, specjalne
ŚRODKI CHEMICZNE

do walki ze szkodnikami drzew:

KARBOLINA ULRICHA do opryskiwania drzew owocowych, zwłaszcza śliw. Tępi mszyce, tarczki i grzybki.
SANOL ULRICHA do smarowania drzew, owocowych przeciw korowce (mszycy krwistej).

PARASAN ULRICHA przewyższa własności cieczy bordoskiej, absolutnie nieszkodliwy dla liści i owoców.

LEP ULRICHA NA OPASKI. Zabezpiecza drzewa owocowe przeciw przedzimkowi.

Ponadto specjalne środki do niszczenia niepożądaney trawy na ścieżkach, drogach, placach sportowych i t. p.

NAWOZY SZTUCZNE MIESZANE.

specjalne: do kwiatów pokojowych i gruntowych.
do róż, do poszczególnych warzyw,
do krzewów owocowych, do drzew owocowych.
Sprzedaż hurtowa i detaliczna.

Cenniki, katalogi i oferty na żądanie.

Drzewa i krzewy owocowe i ozdobne.

ADOLFA NOWACZYŃSKIEGO WIOSNA NARODÓW (W CICHYM ZAKĄTKU)

KOMEDJA HISTORYCZNA Z R. 1848

NAGRODZONA NA KONKURSIE KRAKOWSKIM

WYSZŁA Z DRUKU

NAKŁADEM KSIĘGARNI HOESICKA

TEGO Ż AUTORA:

„Wojna Wojnie!” — „Komendant Paryża” —
„Pułaski w Ameryce” — Było to nad Bałty-
kiem — Nowe Ateny — Cyganerja Warszawska —
Bóg Wojny — Starościc ukarany — Rey w Ba-
binie — Smocze Gniazdo — Wielki Fryderyk —
Car Samozwaniec

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

OSTATNIE PRACE

ZYGMUNTA

WASILEWSKIEGO

Na wschodnim posterunku	zł. 4.—
O życiu i katastrofach cywiliza- cji narodowej	1.20
Mickiewicz i Słowacki	3.—
Seweryn Goszczyński	2.—
Z życia poety romantycznego	1.20
Jan Kasprówic	4.—
Współcześni	6.—
Proces Lednickiego	5.—
Dyskusje	5.—
Wspomnienia o Kasprówicu i Że- romskim	4.—

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH.

PRACOWNIA i MAGAZYN

Wyrobów podróżno - skórzanych

JAKO TO:

KUFRY, WALIZY, NESESERY, TOREBKI DAM-
SKIE, PORTEFELE, TEKI BIUROWE, PORT-
MONETKI I T. P.

A. CHAJĘCKI

WARSZAWA, CHMIELNA 35. TELEF. 212-15.

TREŚĆ: O treść rządów *J. Rembienińskiego*. — Społeczeństwo termitów *Z. Raczkowskiego*. — Nowa powieść autorki „Pożogi”. — *Wł. Jabłonowskiego*. — Jan Gwałbert Pawlikowski (szkie literacki) *Z. Wasilewskiego*. — *Liberum Veto Al. Świętochowskiego*. — Głosy: Przykra książka; Wspólny front *M. W.*; Ukraina a Rosja *Kl. Hrabyska*. — Z polityki zagranicznej *S. K.* — Wychowanie narodowe *Lwowianina*. — Nauka i literatura („Bardzo ciekawa książka” *A. Ś. i t. d.*) — Ze świata muzycznego. — Ofensywa *A. Nowaczyńskiego*. — Na marginesie.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 11-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie 17, rocznie zł. 32, za granicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.

Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI

Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. A. Michalskiego, sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15.

PRZESYŁKA POCZTOWA OPLACONA RYCZAŁEM